WTOREK
Nr 30 11 III 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

HARCERSCY ARTYŚCI LUDZIOM DOBREJ ROBOTY

CHRZANÓW (HSI). Już po raz szósty odbyły się w Chrzanowie doroczne Harcerskie Spotkania Artystyczne. Zorganizowały je Komendy Chorągwi w Katowicach, Bielsku-Białej, Krakowie oraz chrzanowski hufiec ZHP. Spotkania rozpoczął uroczysty koncert w Miejskim Ośrodku Kultury. Zadedykowano go ludziom dobrej roboty, przodującym załogom zakładów pracy. Wystąpiły harcerskie zespoły artystyczne, m. in. „Siemianie" z Siemianowic Śląskich, „Wiolinki" z Bielska-Białej, a także zespół Uniwersytetu Jagiellońskiego – „Słowianki". W programie spotkań były jeszcze inne koncerty oraz wiele imprez towarzyszących. (**kż**)

KANDYDACI NA PRZYSZŁE ZIMOWE OLIMPIADY

RZESZÓW (Inf. wł.). Wprawdzie teren Rzeszowszczyzny nie jest przystosowany do uprawiania narciarstwa alpejskiego, ale w Rzeszowie znaleźli się społeczni instruktorzy z uprawnieniami narciarskimi, którzy założyli i prowadzą Harcerski Klub Narciarski. Klub, nastawiony przede wszystkim na przygotowywanie harcerzy-organizatorów sportów zimowych w szkołach, w szczepach, nie zapomina również i o sporcie wyczynowym. Zarejestrowany jest w Polskim Związku Narciarskim w Okręgu Krośnieńskim, a jego reprezentanci mogą pochwalić się bardzo dobrymi lokatami na zawodach województw Polski południowo-wschodniej.

Wśród około sześćdziesięciu członków klubu są zarówno zuchy, jak i starsza młodzież ze szkół średnich. Trenują w ośrodku Komendy Chorągwi w Ustrzykach Dolnych, gdzie są wyciągi, a zimą całkiem dobre warunki śniegowe. Tam to spędzili pracowicie tegoroczne ferie zimowe. A w każdą sobotę i niedzielę, jeśli oczywiście pogoda dopisuje, trenują w niedalekiej od Rzeszowa Albigowej. A może na którejś z przyszłych olimpiad zimowych usłyszymy o rzeszowskich zjazdowcach? (**kos**)

„TRZEBA WYLAĆ MISKĘ POTU, BY ZAPRACOWAĆ NA MISKĘ RYŻU..."

Korespondencja JANUSZA WOLNIEWICZA pt. ZŁOTO TAJLANDII – str. 5

Fot. **archiwum**

LICZBY, KTÓRE CIESZĄ

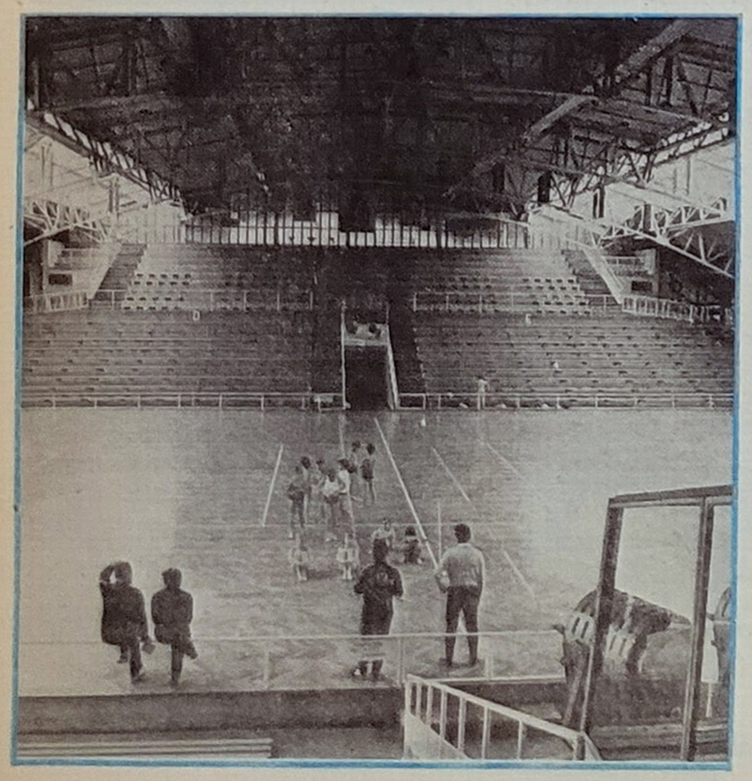

(Inf. wł.). Coraz więcej medali przywożą nasi sportowcy z przeróżnych mistrzostw świata, Europy i innych imprez. Prawdę powiedziawszy mało jest dyscyplin, w których nie odnosimy sukcesów, głównie w sportach letnich. Żaden z tych sukcesów nie jest dziełem przypadku. Gwarantują je – coraz lepsza jakość produkowanego u nas sprzętu, coraz wyższa kwalifikacja trenerów i stale rozbudowująca się sportowa baza. Dla przykładu warto podać, że w latach 1971–1979 przybyło nam aż 101 stadionów, 905 hal gimnastycznych (głównie przy szkołach), 57 dużych hal sportowych, 29 sztucznych lodowisk oraz 81 otwartych i 121 krytych pływalni. Mamy więc gdzie trenować i urządzać imprezy. Na zdjęciu ogromna hala mieleckiej „Stali", dostępna nie tylko dla zawodników klubu, ale również dla uczniów tamtejszych szkół. (zp)

Fot. **CAF**

Na początku – fosa pałacu cesarskiego...

JAPONIA (PAP). Nowe urządzenie filtracyjne, opracowane przez japońskiego wynalazcę Osamu Mihara, wykorzystano ostatnio przy oczyszczaniu 4-kilometrowej fosy otaczającej pałac cesarski w Tokio. Zdaniem specjalistów, zanieczyszczone i pełne różnych odpadków wody fosy już wkrótce zostaną zamienione w wodę pitną, kryształowej czystości. Eksperyment ten będzie równocześnie najlepszą reklamą dla urządzenia, którego wydajność wynosi 35 ton oczyszczonej wody na godzinę.

Osamu Mihara rozpoczął pracę nad wynalazkiem na początku lat siedemdziesiątych. Wstępne próby wykazały, że metoda ta jest o 70% tańsza niż konwencjonalne procesy filtracji. Technologia wynalazku polega między innymi na nowym sposobie reaktywowania zużytego węgla filtracyjnego (bez posługiwania się tradycyjną metodą ogrzewania).

Wynalazkiem Mihary zainteresowało się już wiele państw. Wszyscy twierdzą, że metoda ta zrewolucjonizuje w przyszłości ochronę środowiska naturalnego. (**ml**)

UCZNIOWIE – WYNALAZCAMI

LUBLIN (HSI). Młodzież z Technikum Elektronicznego ze Zduńskiej Woli znana jest z podejmowania ciekawych wniosków racjonalizatorskich oraz wynalazków, które zyskały patenty.

W br. szkolnym uczniowie tej szkoły opracowali kilka wartościowych prac dyplomowych. Do najciekawszych zaliczono skonstruowanie przez nich urządzenia do badania sprawności popularnych „maluchów" – m. in. analizator spalinowy, czy przyrząd do regulowania przepływu paliw. (**dn**)

Historia jednego warsztatu

OD WOLANTA DO „POLONEZA"

OD TOWARZYSTWA ROSYJSKO-AMERYKAŃSKIEJ MANUFAKTURY GUMOWEJ POD FIRMĄ „TEUGOLNIK".
DO WIELMOŻNYCH BRACI F. I K. BURAKÓW.

Powierzamy Wielmożnym Panom gumy powozowe, bandaże, koła metalowe i dodatki do nich, wyrobu fabryki „Ludwik Nobel" w Petersburgu...

Wielmożni Panowie obowiązują się otrzymany towar przechowywać w miejscu do tego odpowiedniem, aby nie uległ zepsuciu...

Nieczytelne podpisy. Data: ***14 maj 1903 rok, Petersburg.***

Ten pożółkły już dziś dokument oglądam w mieszkaniu Leopolda Buraka. Na dole czekające na naprawę „maluchy", duże Fiaty, Łady, Polonezy. W kącie, potwierdzając jakby długą historię warsztatu kieleckiego, staruszek Ford. Czy jest na chodzie? – **A, to syna proszę pytać** – m. Leopold. A my wracamy do dokumentów, zdjęć i wspomnień.

CIĄG DALSZY NA S.3

CO DALEJ ÓSMA KLASO?

TELEFON 214-706

dzisiaj czynny!
godz. 14.30–16.30

Nasze dyżury „Co dalej ósma klaso?" kontynuujemy, choć forma ich nieco ulegnie zmianie. Otóż dzisiaj przy telefonie dyżurować będą **specjaliści od szkół budowlanych**. Wszyscy ci, którzy interesują się szkołami tego typu, a jeszcze niezbyt wiele na ich temat wiedzą, mogą dzwonić na numer 214-706. (WARSZAWA) Wasze wątpliwości postaramy się wyjaśnić.

W każdy **wtorek** i **czwartek** urzędować będą przy telefonie specjaliści z innego resortu. W kolejnych numerach będziemy dokładnie informowali, jaki specjalista odpowie na Wasze pytania.

TAK WIĘC DZIŚ, WE WTOREK (11.03.) PYTAJCIE O SZKOŁY BUDOWLANE!

KAMERA FILMOWA Z URZĄDZENIEM pozwalającym na błyskawiczne wywołanie filmu

USA (PAP). Amerykańska firma „Polaroid" zajmująca się produkcją sprzętu filmowego i fotograficznego wystąpiła na rynku światowym z nowym, rewelacyjnym wynalazkiem – wąskotaśmową kamerą filmową z wmontowanym urządzeniem pozwalającym na błyskawiczne wywołanie filmu. Dotychczas system natychmiastowego wywoływania dotyczył tylko aparatów fotograficznych. Nowe kamery o nazwie „Polvision", mogą służyć zarówno amatorom, jak i zawodowcom. (**kż**)

REPORTER Świata Młodych

GRA MIEJSCOWY BENIAMINEK...

Najciekawszym ostatnio wydarzeniem był mecz koszykówki miejscowego beniaminka z drużyną przodującą w tej dyscyplinie. Mimo że sama uprawiam ten sport, nie mam zbyt wiele czasu i okazji, aby zobaczyć jakiś ciekawy pojedynek. Koszykówka jest grą popularną w naszym mieście, ma moc sympatyków, a w dodatku zobaczyć zespół naszych pań w grze z mistrzem Polski, to dopiero jest okazja!

Aby zająć dogodne miejsca, wybrałam się z koleżankami trochę wcześniej. Opłaciło się to – widok był wspaniały – na całą salę. Z początku nie przeszkadzała mi grupa chłopaków siedzących za nami, którzy zachowywali się hałaśliwie. Myślałam, że z chwilą rozpoczęcia meczu uspokoją się. Było jeszcze jako-tako, gdy gra toczyła się po naszej myśli – słychać było tylko okrzyki zachęcające naszą drużynę do gry w lepszym stylu. Po przerwie punkty zaczął zdobywać przeciwnik – z widowni „posypały się" zgryźliwe uwagi pod adresem pań na boisku i sędziego. Głównymi „krzykaczami" byli chłopcy siedzący za nami. Zespół z naszego miasta przegrał jednym punktem, ale zamiast zaciętej gry widziałam przede wszystkim lecące z góry serpentyny, słyszałam niewybredne epitety. Dziwię się jeszcze jednemu – dlaczego osoby mające pilnować porządku na widowni nie zrobiły nic, nawet wtedy, gdy serpentyna uderzyła sędziego?! Wydaje się, że komentarz jest zbyteczny.

BEATA WOJCIECHOWSKA
Pabianice

Dziś przedstawiamy

SURINAM

O istnieniu małych państewek świat dowiaduje się na ogół wtedy, gdy dochodzi w nich do przewrotów lub innych kataklizmów wywołanych siłami przyrody. Takim właśnie krajem jest Surinam – położony w Ameryce Południowej (patrz mapka). Otóż pod koniec lutego br. dokonano tam wojskowego zamachu stanu, w wyniku którego władzę przejęła armia, a właściwie „grupa podoficerów". Określenie „armia" należy rozumieć w skali tego kraju – zbuntowane siły liczyły aż 300 żołnierzy. Jak się okazuje wystarczyło to do obalenia rządu dotychczasowego premiera Henca Arrona. Zamachowcy utworzyli Narodową Radę Wojskową, która w ogłoszonym komunikacie wezwała społeczeństwo do poparcia nowej władzy, zapowiadając „proces reorientacji moralnej i społeczno-gospodarczej oraz pobudzenie rozwoju Republiki Surinamu." W jaki sposób ma tego dokonać, niestety, nie wiadomo. W kilka dni później podano do wiadomości, że Narodową Radę Wojskową tworzy 8 osób, głównie sierżantów, wśród których jest jeden porucznik Van Rey. Wiadomo ponadto, że zamachowcy związani są z ideałami demokratycznymi. Jednym słowem, z tych skąpych danych trudno coś wnioskować o charakterze dokonujących się w Surinamie zmian.

Powierzchnia Republiki Surinamu wynosi 163 tys. km kw. a więc jest nieco większa od połowy Polski. Kraj jest bardzo słabo zaludniony, liczy bowiem zaledwie 450 tys. mieszkańców (3 osoby na jeden km kw.). Stolicą Surinamu i jednocześnie największym portem jest Paramaribo. Nie tak dawno kraj ten nosił nazwę Gujany Holenderskiej, obecną nazwę przyjął przed 5 laty, gdy uzyskał niepodległość.

Podstawą gospodarki jest wydobycie boksytów – około 5 mln ton rocznie. W tej dziedzinie Surinam zajmuje jedno z czołowych miejsc. Wydobyciem tego cennego surowca dla przemysłu aluminiowego zajmują się głównie dwa koncerny – amerykański i holenderski, one też czerpią największe zyski. Drugą ważną dziedziną gospodarki, w której pracuje połowa ludności, jest rolnictwo. Pola uprawne, obejmujące tylko północny pas nadmorski (reszta to lasy, tropikalna dżungla) zajmują niewiele ponad jeden procent całej powierzchni kraju. Uprawia się tam głównie ryż, trzcinę cukrową i banany.

Ludność Surinamu stanowi istną mozaikę – od pierwotnych mieszkańców tego kraju Indian, do Kreoli, Hindusów i Indonezyjczyków. Mimo iż Surinam mógłby wyżywić wielokrotnie liczniejszą ludność, aż 25 proc. jego mieszkańców nie ma pracy. Czy na bezrobocie znajdzie lekarstwo junta wojskowa – zobaczymy. (b)

Rozpaczliwie krótka jest trasa, jaką może jednorazowo pokonać nakręcany, lub innym, podobnym mechanizmem napędzany żuczek, mały czołg czy samochodzik. Ale nie to – jak myślę – jest w tych zabawkach najbardziej rozpaczliwe. Raczej – konieczność powtarzania przez bawiących się kilkulatków w kółko tych samych czynności – nakręcania, puszczania, znowu nakręcania... Z taką zabawką właściwie nic już ponadto nie da się zrobić, chyba, że rozebrać, ale to oznacza jej unicestwienie. Więc zabawa tą mechaniczną zabawką rzeczywiście jest strasznie m e c h a n i c z n a.

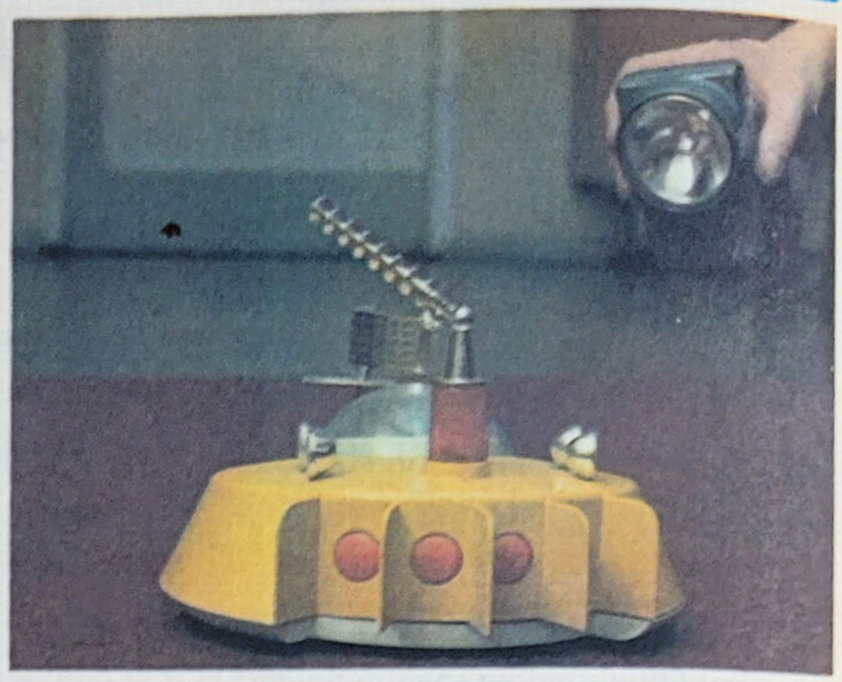

Nie, nie jest to oczywiście nasz tytułowy żuczek, ale zabawka-pojazd, sterowana światłem. M. in. nad takimi właśnie zabawkami pracują od pewnego czasu projektanci i konstruktorzy z łódzkiego Ośrodka Fot. M. Szymański

O zabawkach – tym razem poważnie

WYBOISTA DROGA NAKRĘCANEGO ŻUCZKA

W rozumieniu przedstawicieli branży zabawkarskiej i handlu, zabawka mechaniczna to taka, która się rusza, jeździ, świeci jakimś światełkiem, którą można sterować itp. Produkujemy ich w kraju sporo, ale wciąż grubo za mało w stosunku do potrzeb. A poza tym – właśnie pod ich adresem słyszy się wiele zarzutów. Że nie są dość pomysłowe, inteligentne, że owszem, bawią, ale niczego przy tym nie uczą. I cóż właściwie niosą dzieciom, poza szczyptą świata dorosłych, poza jego namiastką – tymi zwłaszcza czołgami czy samobieżnymi działami, ukazującymi to, co w tym świecie dorosłych najgorsze?

Można by na nasze zabawki ponarzekać dłużej. I to mając na uwadze, odwiedziłem Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Zabawkarskiego w Łodzi – instytucję będącą niejako „mózgiem" naszego zabawkarstwa. Zatrudnia ok. 150 osób o różnych specjalnościach – obok konstruktorów, także modelarzy, plastyków, pedagoga. Tu rodzi się duża część projektów krajowych zabawek. Gdy wyłożyłem moim rozmówcom z Ośrodka wymienione poprzednio wątpliwości i żale, odpowiedzieli: owszem, dużo w tym racji, ale proszę się najpierw przyjrzeć życiu...

Żuczek z mózgiem elektronowym, czyli melodia przyszłości

Zapytałem dyrektora, mgr **Ryszarda Lecha Kowalczyka**, co stanowi natchnienie, czy może napęd działalności Ośrodka. Usłyszałem, że w dużej mierze to, co w tej dziedzinie robi się na świecie. Gdy idzie o zabawki dla najmłodszych – widać w wielu krajach nawrót do prostoty, a zarazem do tradycyjnych surowców, zwłaszcza do drewna. Za to dla starszych robi się coraz więcej, coraz to rozmaitszych zabawek mechanicznych. Ich bogactwo i pomysłowość rozwiązań – są już wprost ogromne. Przy tym przemysł zabawek mechanicznych stara się iść krok w krok z nowoczesną techniką, a co najwyżej, pozostaje pół kroku z tyłu. Powszechne np. stają się zabawki elektroniczne, co jest zrozumiałe w krajach, w których elektronizacja większości dziedzin życia jest już zaawansowana.

Gdy zapytałem dyrektora, jak wypada nasz przemysł zabawkarski na tle zachodniego, odparł krótko: źle. Źle, zwłaszcza w dziedzinie zabawek mechanicznych. Czy jednak nie zanosi się na jakąś poprawę?

Wygląda na to, że generalnie – nie. Pomimo że zamierzamy sięgnąć do nowych rozwiązań. Choćby – właśnie do elektroniki. Dotąd było to niemożliwe ze względu na brak niezbędnych elementów – tranzystorów, diod itp., które trzeba było sprowadzać z zagranicy dla potrzeb innych, ważniejszych przemysłów – jako że zabawkarski uchodzi za kopciuszka. Dziś wytwarzamy je w kraju (patrz „Elektronika – nerw życia", „ŚM" nr 5 z 12.I.) Ośrodek podpisał więc umowę z „Unitrą" i będzie otrzymywał niezbędne podzespoły. Wtedy rozpocznie projektowanie zabawek elektronicznych – np. zdalnie sterowanych. Ale na rynku z pewnością nie ukażą się one prędko – zwłaszcza, że przygotowanie przez Ośrodek produkcji nowej zabawki – trwa rok, dwa.

Na razie więc myśli się o czymś innym. Np. o zabawkach sterowanych dźwiękiem. Były już próby, ale nie ma jeszcze prototypów.

Póki co, pozostaniemy więc w kraju przy prostych zabawkach mechanicznych i tradycyjnych mechanizmach, np. inercyjnym (rozpędzanie kółek samochodu), czy przy nieśmiertelnym nakręcaniu.

Żuczek zunifikowany, czyli proza życia

Najtrudniejsze i najbardziej czasochłonne w przygotowaniu produkcji nowej zabawki jest tzw. oprzyrządowanie. Tzn. skonstruowanie urządzeń, wytwarzających jej poszczególne elementy. Im bardziej złożona zabawka, tym ich więcej trzeba.

Oprzyrządowanie jednego wzoru zabawki kosztuje milion, dwa. Ale nie to jest najważniejsze – przeszkoda numer jeden, to brak mocy przerobowych i narzędzi. Ośrodek może zapewnić oprzyrządowanie dla dwudziestu kilku nowych zabawek na rok. Jednocześnie – mówi dyrektor – powinno się rocznie ukazywać 300–400 prawdziwych nowości. Oczywiście, nie tylko Ośrodek to robi, ale na palcach jednej ręki można policzyć zakłady wytwarzające zabawki, które sobie z tym należycie radzą...

Inż. **Jan Ochmański**, kierownik pracowni konstrukcji i projektowania zabawek, objaśnia, w jaki sposób ten kłopot częściowo się omija. Przez unifikację, czyli ujednolicenie niektórych części, stosowanych do różnych zabawek. W ten sposób np. to samo podwozie stosuje się do jeżdżącego żuczka, ślimaka i żółwia albo rozmaitych samochodów.

To ujednolicenie nie sprzyja oczywiście rozmaitości, a kłopoty z oprzyrządowaniem stanowią mur, o który rozbija się wiele nowych pomysłów. W Ośrodku narodziło się już sporo takich projektów, które zostały pogrzebane, bo nie było widoków na odpowiednio bogate oprzyrządowanie. I nadal widoki te nie są zbyt pocieszające...

Wprawdzie przemysł zabawkarski otrzyma w tym pięcioleciu spory zastrzyk środków, z których wiele pójdzie na tzw. zaplecze, czyli m. in. na uruchomienie narzędziowni, ale... Będąc swego czasu we wrocławskiej sp-ni „Palart", wyspecjalizowanej w zabawkach mechanicznych, widziałem narzędziownię w piwnicach, ciasnotę, słyszałem, że na nowe lokum dla zakładu, gnieżdżącego się w przestarzałych budynkach, przyjdzie jeszcze poczekać. W podobnej sytuacji są: łódzki „Prozapol" i „Spójnia". Za 2–3 lata wszystko się tu rozleci. Zatem – dużą część otrzymanych środków trzeba będzie w tej branży poświęcić na odtworzenie dawnego stanu posiadania, ewentualnie z jego niewielkim wzbogaceniem.

Dyr. Kowalczyk mówi na koniec, że jak na te warunki i tak robi się w naszym zabawkarstwie dużo, a ja nie potrafię się z nim nie zgodzić.

Żuczek o urodzie kubełka, czyli nie tylko mechanizm...

Nawet najlepsza pod względem technicznym zabawka mechaniczna nie spełni swego zadania, gdy jest bohomazem. Tymczasem właśnie sam wygląd zabawek budzi najwięcej pretensji. Zresztą już komisja oceniająca nowe wzory, najwięcej z nich odrzuca właśnie ze względu na brzydotę. Ale nierzadko bywa i tak, że komisja zatwierdza barwną zabawkę-cud, która później, w produkcji brzydnie, bo brak odpowiednich tworzyw, farb i nie wiadomo czego jeszcze.

W sumie – nasze zabawki, jeśli są nawet kolorowe, to nie przewyższają pod tym względem kubłów, misek, sitek itp. Bo też zabawkarstwo żyje odpadami z innych przemysłów, m. in. wytwarzających sprzęt gospodarstwa domowego...

Można też wątpić, czy plastycy, od których często wszystko się zaczyna, zawsze są w stanie powstającemu projektowi dobrze się przysłużyć. Dlatego Ośrodek czyni starania o kształcenie projektantów, specjalnie dla tego przemysłu. Podejmuje też próby czerpania pomysłów z zewnątrz. Niestety, konkurs dla dzieci na pomysł nowej zabawki nie przyniósł niczego ciekawego. Próbuje się też współpracy z łódzkimi modelarzami. Ponadto – Ośrodek chętnie przyjmie i zakupi każdy udany pomysł, jaki doń nadejdzie (adres: **Wólczańska 27, 90-607 Łódź**). Spróbujcie swych sił! A nuż się uda?

★ ★ ★

W pokoju inż. Ochmańskiego stoi matematyczna waga, która bawi i uczy rachować. Trzeba w odpowiednich miejscach na jej ramionach powiesić ciężarki ze stosownymi cyframi; jeżeli działanie rachunkowe jest wykonane prawidłowo, waga pozostaje w równowadze. My z inżynierem, podczas rozmowy bawiliśmy się nią inaczej – obciążając ją tak, by przechylała się w stronę tego, kto ma rację. I gdy mówiłem o potrzebie szukania pomysłu na prostą, a mądrą zabawkę – waga przechyliła się na moją stronę...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Mini-olimpiada na Ursynowie

Wszystko wokół jeszcze rozgrzebane. Bo też to nowe warszawskie osiedle ciągle jeszcze się buduje. Ale na Ursynowie mieszka już ponad 40 tysięcy ludzi, wśród których znaczny procent stanowią dzieci i młodzież w wieku szkolnym. Nie ma tu jeszcze boisk, ani też placów gier i zabaw. Najważniejsze są mieszkania, szkoły, sieć handlowa i usługowa. Dopiero później można myśleć o zagospodarowaniu rozległego terenu wokół osiedla, stworzeniu bazy dla sportu i rekreacji.

Czy tak musi być zawsze? Społeczni działacze Ursynowa chcą udowodnić, że niekoniecznie, że już teraz można i trzeba budować boiska, korty i place zabaw dla najmłodszych. „Trzeba tylko – mówią – wyzwolić wśród młodzieży inicjatywę i chęć działania dla siebie". Szczególnie tej zrzeszonej w ZSMP i harcerstwie, w szkolnych klubach sportowych i w innych organizacjach społecznych.

Różne są ku temu drogi, różne punkty startu. Na Ursynowie zdecydowano, że nie ma co dreptać małymi kroczkami. Jeśli już coś robić, to z rozmachem i tak, żeby nawet najbardziej sceptyczni mieszkańcy przekonali się, że i nieokrzepłe jeszcze środowisko stać na podejmowanie zadań, które ponoć udają się tylko w środowiskach mających już wypracowane sposoby i formy działania.

W pierwszy dzień marca, z inicjatywy Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego „Ursynów", zebrało się liczne grono społecznych działaczy tego osiedla. Radzono nad zorganizowaniem takiej imprezy, która – poza sportowymi emocjami – przyniesie konkretne efekty, właśnie w budowie pierwszych obiektów sportowo-rekreacyjnych, a przede wszystkim boisk piłkarskich, bowiem planowana impreza, to Turniej Piłki Nożnej – „Mini-Olimpiada Moskwa'80", dla drużyn szkolnych, międzyszkolnych, podwórkowych i osiedlowych, z terenu województwa stołecznego.

W turnieju mogą uczestniczyć zawodnicy urodzeni w 1964 roku i młodsi, uczniowie szkół podstawowych, którzy nie trenują w szkółkach klubów piłkarskich. Poza tym jednym, nie ma innych ograniczeń. Każda szkoła może zgłosić do turnieju kilkanaście nawet drużyn. Chłopcy z różnych szkół, którzy utworzą drużynę i pozyskają dorosłego opiekuna, też mogą wziąć udział w turniejowych rozgrywkach. Oczywiście, każda drużyna obiera sobie nazwę. Ale nie jakieś tam „Ajaxy", „Borusie", „Reale" czy „Manchestery", tylko pochodzące od reprezentowanej szkoły, zakładu opiekuńczego, osiedla, dzielnicy itp. A zgłoszenia przyjmuje do 15 marca br. Komitet Organizacyjny Turnieju mieszczący się na Ursynowie, ul. Związku Walki Młodych 22, 02-784 Warszawa, tel. 43-54-71. Czasu na zgłoszenie się do turnieju pozostało niewiele!

Ale też niewiele czasu mają organizatorzy tej wielkiej imprezy. Wielkiej, bo w trakcie rozgrywania turnieju piłkarskiego, będą się też odbywały inne, jak: festyny, konkursy plastyczne i fotograficzne, projekcje ciekawych filmów, różne wesołe gry i zabawy sportowe dla najmłodszych, a także Mini-Wyścig Pokoju.

Inauguracja turnieju odbędzie się już 13 kwietnia br. zapaleniem znicza, wciągnięciem flagi olimpijskiej, no i masowymi pokazami gimnastycznymi uczniów ursynowskich szkół. Finał turnieju organizatorzy przewidują w dniu 4 czerwca, jako przedmecz rozgrywanego w tym dniu ligowego meczu warszawskiej „Legii" z opolską „Odrą".

Swoją pomoc w zorganizowaniu turnieju zadeklarowały warszawskie kluby „Legia", „Skra" i „Orzeł", a także związki sportowe i wiele stołecznych instytucji. Dziwić się tylko należy, że na wspomniane zebranie nie przybył, chyba najbardziej pożądany przedstawiciel Szkolnego Związku Sportowego. Bo, kto jak kto, ale właśnie SZS powinien być szczególnie zainteresowany organizacją masowych imprez sportowych dla młodzieży szkolnej.

Ursynowska młodzież zapewne wkrótce podejmie prace przy budowie turniejowych boisk. Kto jej w tym pomoże? Nie wątpię, że poza działaczami społecznymi, także rodzice. A może również uczestnicy turnieju z innych osiedli i dzielnic? Byłaby to nowa forma wspólnego działania. Ano, zobaczymy...

RYSZARD RATAJCZYK

Historia jednego warsztatu

OD WOLANTA DO „POLONEZA"

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Kielce. Rok 1860. Z niewielkiej uliczki wyjeżdża nowiutki powóz. Na bocznych drzwiczkach herb Radziwiłłów. Powóz odjechał drogą prowadzącą do stolicy. Ale wielka furta, przez którą wytoczył się na uliczkę, jeszcze otwarta. Zajrzyjmy więc... Plac pełen surowego drewna, gładkich belek, gotowych już małych i większych kół. A wióry, odpady prowadzą aż do izby. Na środku duże kowadło, na ścianach siekierki, dziesiątki pił do drewna.

– Panie majster! – woła młody człowiek, kończąc montowanie ostatniego koła eleganckiego wolanta. Z małego kantorku wychodzi właściciel warsztatu.

– No, chłopcze, wyciągnij brykę. Sprawdzimy twoją robotę. – Po rundzie wokół placu zdjęto koła i toczono po równej, wyklepanej drodze. Ani jedno nie skręciło. Wszystkie cztery prościutko trafiały do rąk mistrza. Kolejny pojazd gotów był do opuszczenia warsztatu kołodziejskiego. Jego właścicielem był Franciszek Burak. Nie narzekał na brak roboty. Wieści o ślicznych, lekkich, eleganckich bryczkach, wolantach, powozach, karetach rozeszły się błyskawicznie. I nie tylko po okolicy. Zamówienia słano ze wszystkich stron. Dokumentacja? Nie, nikt wówczas tego określenia nie znał. Pan Franciszek słuchał zamówienia właściciela warszawskiego browaru. Szczególna prośba polegała na tym, żeby „siedzenia, mistrzu, odwrócone były od konia. Bo małżonka sobie tego życzy..." Potem otwierał niewielki notes i rysował. Powstawały trzy, cztery wersje. Wreszcie po próbach, zmianach rysunku, trafiano na właściwy model.

W trakcie rozmowy kręcił się po warsztacie to tu, to tam czteroletni brzdąc. Przemknął właśnie przez plac i chwycił potężny młot. Pan Franciszek doskoczył i wyjął niebezpieczne narzędzie z rąk syna. „Oj, Felek, Felek – powiedział, wyjmując narzędzie z rąk syna – przecież krzywdę sobie zrobisz". Musiało być coś fascynującego w atmosferze warsztatu, skoro Feliks dzień w dzień brał się w zapasy z piłą i młotem. Tak rósł następca i współwłaściciel firmy o szumnej nazwie Fabryka Bryczek, Wozów i Sani – Feliks Burak.

Kiedy przyszedł czas, przejął wraz z bratem Kazimierzem fach i warsztat. A ponieważ zamówień było coraz więcej, o Burakach słyszało się coraz głośniej, trzeba było znaleźć większy plac pod budowę zakładu. Młody Feliks, by wiedzę pogłębić, wybrał się do Warszawy. Nauki pobierał w firmie Walanszkiewicza. Firma Braci F. i K. Buraków podtrzymywała dobre imię ojcowskiego warsztatu. Budowali w niej swe powozy i Radziwiłłowie, i Potoccy. Przyjechał z Warszawy Henryk Sienkiewicz, bo „tak mi zachwalano pojazdy Buraków, że nic, tylko w Kielcach dla żony brykę wypada zrobić" – tłumaczył się autor „Trylogii". Po wielu latach ta sama bryczka powróciła do Kielc. Sienkiewicz po śmierci swej żony sprzedał ją tym, od których kupił.

– **Siadałem na kowadle wpatrując się w krzątaninę kilkunastu już pracowników coraz większej firmy** – wspomina przedstawiciel następnego pokolenia kołodziei kieleckich, Leopold Burak. Jakże lubił patrzeć, jak z niczego właściwie, tworzono wypieszczony, piękny i lekki wolant. Podpatrywał pracę, sposób trzymania narzędzi. Aż kiedyś znalazł się wśród dorosłych, medytujących nad wózkiem dziecinnym przyniesionym do naprawy. Ojciec wraz z pracownikami zastanawiał się jak rozkręcić koła. Narzędzi tak małych w warsztacie nie było. Kiedy wszyscy rozeszli się do swej roboty, przy wózku pozostał tylko mały Leopold. A potem przez kilka godzin ten 6-letni chłopiec pracował nad deską, w której zrobił nacięcie dopasowane do średnicy śrubek małych kół wózka.

– **Ojciec widząc to** – opowiada dziś pan Leopold – **krzyknął**: „Zrobiłeś synu nowy klucz. Będziesz miał ten warsztat, tylko rośnij i ucz się." Uczył się więc już nie tylko od ojca, ale i w Szkole Technicznej w Radomiu. – **I całe szczęście** – mówi dalej – **bo budowy Fordów, Chevroletów ojciec nie mógł mnie już nauczyć.**

Znikały wióry i drewniane bale. W warsztacie było coraz czyściej, ale za to – coraz głośniej.

Jeszcze jeździło się bryczkami, wolantami, powozami, kiedy do firmy Buraków zaczęto składać zamówienia na miarę nowego czasu, czasu początków rewolucji motoryzacyjnej. Rok 1920. W wielkim warsztacie na ulicy Nowowarszawskiej 6 stoją już obok siebie: kolejna bryczka dla znanego nam już właściciela browaru i... podwozie Forda z wmontowanym już silnikiem. Stosy drewna zamieniały się w stosy blachy. I znów trzeba było na nowo się uczyć i na nowo pracować na dobre imię firmy.

– **Budowaliśmy samochody osobowe, autobusy i samochody ciężarowe** – wspomina pan Leopold. **Budowaliśmy dla Gdańska, Krakowa, Warszawy.**

Tuż przed wybuchem wojny odtransportowano ostatni autobus do Krakowa, dla Lipczyńskiego, właściciela przedsiębiorstwa samochodowego. Montowali karoserie samochodów do przewozu amunicji, dla straży pożarnych. Ale gdzieś w kącie wciąż jeszcze stała nie odebrana już nigdy bryczka. Stawała się powoli pomnikiem, pamiątką, symbolem firmy założonej 120 lat temu.

Nadeszła wojna i jak wszyscy, pan Leopold przewędrował kawał Polski, chroniąc się przed działaniami wojennymi. Wspomina dziś z łezką w oku wóz, który zrobił dla siebie w sierpniu 1939. To był Polski Fiat 508.

– **I przywiózłby mnie z powrotem do Kielc, gdyby nie brak benzyny** – opowiada. **Próbowałem pić go i terpentyną, i czystym spirytusem i naftą. Przez kilka dni, choć pyrkocąc, ale jechał. Dopiero pod Strzyżowem odmówił posłuszeństwa.**

Z dumą opowiada dalej o autobusie wykonanym w jego firmie w 1928 roku na zamówienie władz miejskich Buska-Zdroju. Trzydzieści lat potem natknął się na swoje dzieło w Radomiu na ulicy Dębów. Oglądał, nie wierząc własnym oczom. Tyle lat, a lakier trzymał się dobrze i rdza nie zniszczyła jeszcze karoserii. A dziś nadziwić się nie może oglądając przywożone do naprawy „maluchy". Rok, dwa lakier odpryskuje i ta piekielna rdza już działa.

– **Pewnie w atmosferze jest już coś niszczącego** – mówi pan Leopold, dziś szef firmy „blacharstwo-karoseryjne". Nie buduje już i nie tworzy wciąż nowych, różnych pojazdów na czterech kółkach. Naprawia te, których tysiące schodzi z taśm wielkich zakładów.

Jego syn, Jerzy, będąc przed pięciu laty uczniem technikum samochodowego, znalazł na złomowisku resztki Forda z lat trzydziestych. Zniszczony doszczętnie wóz przyciągnięto do warsztatu ojca.

– **I jaki był zajadły** – mówi pan Leopold. – **Po kawałku, na podstawie wyszukanych rysunków, dopasowywał wraz z kolegami części karoserii. To była jego praca dyplomowa w technikum.** To była też radość najmłodszego z Buraków. Radość tworzenia towarzyszyła przecież i jego pradziadowi, i dziadkowi Feliksowi, i wreszcie ojcu – Leopoldowi. W dzisiejszym warsztacie na ulicy Składowej w Kielcach brakuje już bryczki (przekazano ją do Muzeum w Łańcucie), która świadczyłaby o skoku, jaki firma Buraków musiała wykonać wraz ze światem, w którym powstała kiedyś i trwa do dziś.

MILENA HAYKOWSKA
Fot. **Wojciech Wróblewski**

Wolant wykonany na zamówienie w roku 1924

Bracia Feliks i Kazimierz Burak (siedzą w pierwszym rzędzie od lewej) rozbudowali warsztat swego ojca. W 1914 roku na ulicy Nowowarszawskiej pracowało już kilkunastu ludzi

Polski Fiat „Beskid". Jeden z pierwszych autobusów konstrukcji polskiej zbudowany w 1936 r. „To była już produkcja seryjna. Wyprodukowaliśmy 12 sztuk tego autobusu" – mówi Leopold Burak (z prawej). Dziś właścicielem firmy „Blacharstwo karoseryjne" jest już najmłodszy z rodziny – Jerzy (z lewej)

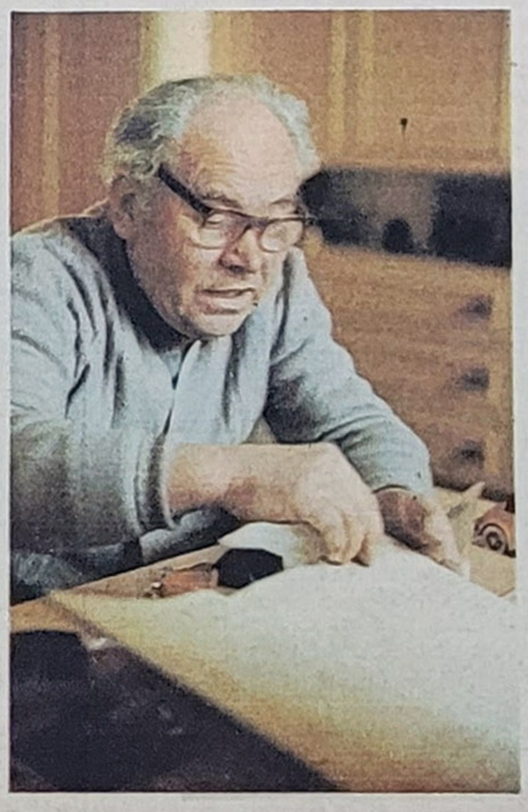

Pod tablicą

Z dziennika praktyk:

„Praktyka, którą odbywałam w LO im. J. Kochanowskiego pozwoliła mi na zapoznanie się z rzeczywistymi problemami nauczania języka obcego. Skonfrontowanie zdobytej dotychczas wiedzy teoretycznej z praktyką ukazało szereg trudności, których założenia teoretyczne nie są w stanie przewidzieć (...). Praktyka ta nie tylko nie zniechęciła mnie do zawodu nauczyciela, ale potwierdziła słuszność mojej decyzji". W podpisie. Bożena Wojciechowska-Kuczyńska.

– Waldek, nie wygłupiaj się, wstawaj, spóźnimy się do szkoły! – Bożena szarpie męża za piżamę. – Każdego rana to samo, zwariować można!

Od dzisiaj zaczynają praktyki nauczycielskie. Po raz pierwszy w szkole nie w charakterze uczniów. Może to nawet nie najlepsze określenie. Bo przecież idą się uczyć, tyle że... nauczania. Przez jakiś czas występować będą w roli obserwujących lekcję angielskiego, prowadzoną przez doświadczonego fachowca, panią E. Kraśko. Młoda nauczycielka, o bardzo dużych wymaganiach. I wobec siebie, i wobec uczniów.

Za dziesięć ósma. Bożena wchodzi do szatni. Zgiełk i hałas nie do opisania. Właściwe wejście dla nauczycieli jest z drugiej strony... Ale jakoś głupio.

Wreszcie pierwsza lekcja. Ich obecność budzi pewną sensację, ale nie na długo. Tempo jest takie, że trudno nie uważać.

„To my tak wyglądaliśmy w tych ławkach pięć lat temu. Oni zachowują się dokładnie tak, jak my. O, ten to coś na pewno zrzyna! A ciekawe co tak zawzięcie skrobie ładna blondyneczka – pewnie kartkę do przyjaciółki, że ma wykrzywione obcasy. A tamten w szarym swetrze nie może wytrzymać z ciekawości, bez przerwy zezuje do tyłu".

Wszystkie przerwy mają zajęte. Omawiają na nich przeprowadzone przez panią Kraśko lekcje. Według Bożeny są świetne. Poza tym klasy przykładają się uczciwie do angielskiego. Np. IIIa jest bardzo dobra, błyskawicznie chwytają co im się kładzie do głowy.

Za chwilę zaczyna się kolejna lekcja. Tym razem w la.

– No to co, spróbuje pani? – Bożena jeszcze nie wie, że to do niej.

– Jak to?!

– Zwyczajnie, poprowadzić lekcje. Trzeba kiedyś zacząć!

Wtedy na krótką chwilę wpadła w panikę. Miała tylko temat – „wprowadzenie zaimków". Ale co tu wymyśleć, żeby podać to jakoś ciekawie, z głową?!

Dzwonek. Trzeba iść po dziennik i wpuścić klasę.

Stoi na środku, pod tablicą. Po raz pierwszy od pięciu lat. Kiedyś wydawało się, że to fraszka, a teraz... to potwornie trudne. Po pierwsze, żeby nie skompromitować się przed tymi młodymi, po drugie... ona też za to dostanie stopień.

– Dzisiaj ja będę waszym nauczycielem – to były jedyne słowa, jakie powiedziała po polsku. Reszta w języku angielskim, trzeba ich przyzwyczajać.

– Prośba do was, żebyście ustawili na ławkach kartki z imionami, jeszcze was nie znam. „Dobrze pamiętam, że w szkole nie znosiliśmy mówienia po nazwisku".

Na początku trochę tremy. Bożena mówi wolno, głośno i spokojnie. Powoli zaczyna odróżniać Jacka od Krzyśka i Magdę od Hanki.

Dzwonek. Pierwsze czterdzieści pięć minut w roli nauczyciela za nią.

– No i jak było? – pyta panią Kraśko.

– Jakby pani dziesięć lat spędziła za tym biurkiem. Świetnie, gratuluję.

Fot. **W. Kuczyński**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

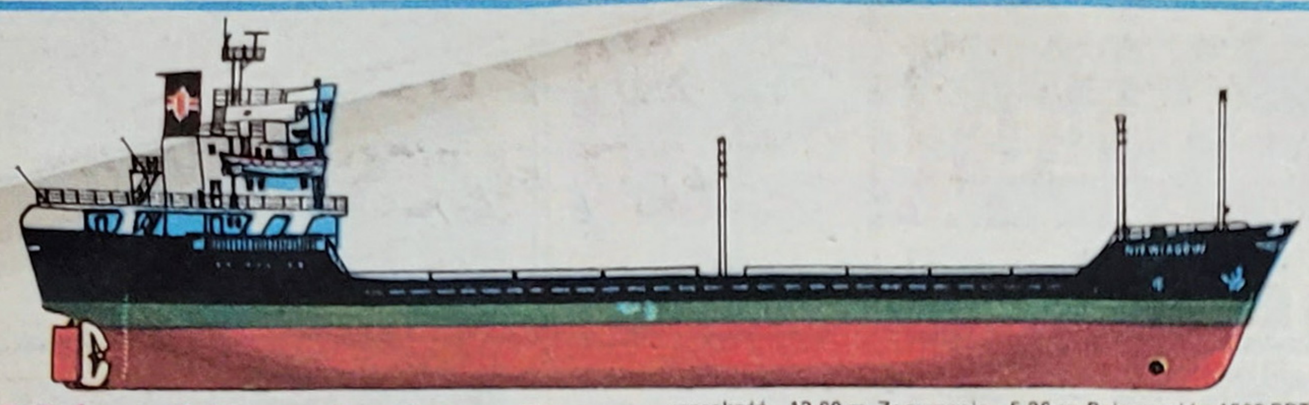

M/s „Niewiadów"

W eksploatacji PŻM znajdują się trzy małe masowce uniwersalne zbudowane przez Stocznię Gdańską im. W.I. Lenina. Są to: m/s „Niewiadów", m/s „Lipsk nad Biebrzą" i m/s „Jarosław". Dwa pierwsze zbudowane w 1978 roku, znalazły się pod banderą PŻM w ramach Polsko-Norweskiego Przedsięwzięcia Żeglugowego. Na m/s „Jarosławie" podniesiono banderę w 1979 roku. Jednostki te przystosowane do przewozu ładunków masowych, tarcicy w ładowniach i na pokładzie oraz drobnicy eksploatowane są przez Zakład Trampingu Europejskiego.

Długość całkowita m/s „Niewiadów" wynosi – około 84 m, szerokość – 13,60 m. Zanurzenie – 5,36 m. Pojemność – 1592 BRT. W jego ładowniach mieści się 1068 ton rejestrowych węgla, lub innych ładunków masowych, tyle, ile mógłby zabrać pociąg złożony z 44 dużych wagonów kolejowych do przewozu węgla. Nośność – 2980 DWT. Może rozwijać prędkość do 14 węzłów. Napęd stanowi silnik spalinowy o mocy 2500 KM. Załoga liczy 17 osób.

Pomieszczenia mieszkalne, służbowe i ogólnego użytku znajdują się w nadbudówce rufowej. Załoga mieszka w jednoosobowych kabinach.

M/s „Niewiadów" odbył ponad 50 rejsów eksploatacyjnych, m/s „Lipsk nad Biebrzą" – ponad 60, a m/s „Jarosław" ma za sobą 40 rejsów.

Rys. **Marek Soroka**

27

WYTNIJ, ZACHOWAJ

KUPON KONKURSOWY

„Świat Młodych"

PŻM

Magazynek kalejdoskopu

„Nasz szczep bierze udział w XI TWO. Jednym z zadań jest wykonanie albumu o swojej miejscowości. Nas interesują również inne miasta i wsie. Pragniemy poznać kolegów z różnych środowisk. Dlatego zwracamy się do Was, żebyście zamieścili ten apel... Ze zdjęć, listów i pocztówek chcielibyśmy zorganizować w naszej szkole wystawę o Polsce. Harcerze Drużyny Turystycznej, pwd Bogdan Gajos, ul. Warszawska 21, 18–320 Połczyn-Zdrój...

Pomysł na wystawę może i dobry, ale chyba niedokładnie zrozumieliście główne zadanie XI TWO. Nie chodzi przecież o sporządzenie albumu z widokówkami z całej Polski. Na „Album Polska – 1980" złożą się kartki – zadanie wykonane przez drużyny turniejowe w swoich miejscowościach. Na pewno warto sięgnąć do historii Waszego miasta, zarejestrować jak zmieniło się jego oblicze, dowiedzieć się, czemu Połczyn-Zdrój zawdzięcza drugą część swojej nazwy... A może porozmawiać z kuracjuszami, którzy u Was przebywają? Słowo „album" potraktujcie umownie. Możecie na przykład zredagować jedno wydanie specjalnego „Głosu Połczyna" z różnymi rubrykami zamieszczającymi krótkie wiadomości, reportaż, zdjęcia, wywiad.

Życzymy sukcesów i przypominamy, że termin zakończenia turnieju tuż, tuż!

CO DALEJ OSMA KLASO

PRZYJEDŹ, MAMO, NA PRZYSIĘGĘ

Wszystkich chłopców, którzy chcieliby uczyć się w szkołach wojskowych informujemy, że bezpośrednio po ukończeniu szkoły podstawowej mają do wyboru tylko: **Wojskową Szkołę Muzyczną II stopnia w Elblągu i Liceum Lotnicze przy Wyższej Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie.**

Do pierwszej mogą być przyjęci absolwenci państwowych szkół muzycznych I stopnia oraz ci, którzy uczyli się gry na instrumentach co najmniej w takim zakresie, jak w muzycznej szkole podstawowej. Kandydatów obowiązują egzaminy: pisemny i ustny z języka polskiego i matematyki, badanie słuchu i poczucia rytmu, gra na instrumencie.

Podania – ankiety wraz z dokumentami (poświadczenie obywatelstwa polskiego, świadectwo ukończenia wymaganej szkoły, zgoda rodziców, zobowiązanie do pozostania w wojskowej służbie zawodowej po ukończeniu szkoły, dwie fotografie) należy składać do 1 czerwca w Wojskowych Komendach Uzupełnień właściwych dla stałego miejsca zamieszkania zainteresowanych. Egzamin wstępny odbędzie się 20–21 czerwca.

Liceum Lotnicze kształci mechaników osprzętu lotniczego i urządzeń pokładowych. Przygotowuje kandydatów do służby w lotnictwie wojskowym, przede wszystkim do studiów w Wyższej Oficerskiej Szkole Lotniczej.

Podania o przyjęcie wraz z metryką, życiorysem, świadectwem ukończenia VII klasy, szkoły podstawowej i wykazem ocen za pierwsze półrocze VIII klasy, opinią szkoły, poświadczeniem obywatelstwa polskiego, pisemną zgodą rodziców i 4 fotografiami należy składać do 30 kwietnia na adres: Wydział Rekrutacji WOSL im. Janka Krasickiego w Dęblinie.

Kandydaci są wzywani na badania lekarskie. Gdy komisja uzna ich za zdolnych do nauki w tej szkole przystępują do egzaminu wstępnego z matematyki, języka polskiego i sprawdzianu ze sprawności fizycznej. Nauka trwa 4 lata. Absolwenci kontynuują naukę na kierunkach pilotażu, nawigacji lub meteorologii w WOSL lub Szkole Chorążych Wojsk Lotniczych.

Oprócz wymienionych wyżej jest jeszcze 18 Podoficerskich Szkół Zawodowych. Nauka w nich trwa 3 lata. O przyjęcie mogą ubiegać się absolwenci szkół zawodowych oraz ci, którzy ukończyli dwie klasy liceum lub technikum. Podania należy składać w Wojskowych Komendach Uzupełnień. Tam również można uzyskać informacje o wymaganiach i warunkach nauki. (**ap**)

KATOWICE

Nazwa placówki	Nazwa miejsc. Nr kodu poczt.	Ulica nr	Telefon
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Mysłowice 41-400	Pl. Wolności nr 5	225-203
Poradnia Wychow.-Zawod.	Olkusz 32-300	Nowotki 5	304-35
"	Pszczyna 43-200	Piastowska 1	37-16
"	Pyskowice 44-120	Świerczewskiego 39	35-47
"	Racibórz 47-400	Rynek 6	35-47
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Ruda Śląska 41-700	1 Maja 218	420-344
Poradnia Wychow.-Zawod.	Rybnik 44-200	Chrobrego 29	239-35
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Siemianowice 41-100	Leśna 1	282-738
"	Sosnowiec 41-200	Nowotki 21	661-471
"	Świętochłowice 41-600	Szkolna 10	452-809
Poradnia Wychow.-Zawod.	Tarnowskie Góry 42-600	Sienkiewicza nr 6	854-367
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Tychy 43-103	Osiedle A Lenina 16	272-392
Poradnia Wychow.-Zawod.	Wodzisław 44-300	Marchlewskiego nr 8	519-93
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Zabrze 41-800	3 Maja nr 12	711-951
Poradnia Wychow.-Zawod.	Zawiercie 42-400	Sądowa nr 10	223-951
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Żory 44-240	Al.W.Polskiego nr 2	420-47
"	Kuźnia Raciborska	ul. Moniuszki nr 5	

Woj. Poradnia Wychow.-Zawod	Katowice 40-086	Gen. A. Zawadzkiego 25	599-583
Poradnia Wychow.-Zawod.	Będzin 42-500	Sienkiewicza nr 33	674-401
Miejska Por. Wychow.-Zawod	Bytom 41-900	Sądowa 5	815-526
"	Chorzów 41-500	Armii Czerwonej 12	418-656
Poradnia Wychow.-Zawod.	Chrzanów 32-500	Lenina 53	22-45 w. 87
"	Czechowice Dziedzice 43-320	Krasińskiego 2	585-86
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Dąbrowa Gór. 41-300	Mireckiego 1	623-811
"	Gliwice 44-100	Średnia 10	910-569
Poradnia Wychow.-Zawod.	Jastrzębie Zdrój 44-335	Opolska-Osiedle nr 5	
Miejska Por. Wychow.-Zawod.	Jaworzno 32-520	Puszkina 5	70-34
Poradnia Wychow.-Zawod.	Katowice 40-857	Gliwicka 148	538-811
"	Katowice 40-709	Panewnicka 13	527-959
"	Katowice 40-311	Zjednoczonej Partii 60	569-052
"	Katowice 40-126	Okrzei 4	583-512
"	Katowice 40-042	Wita Stwosza nr 17/17a	518-421 w. 87
Poradnia Wychow.-Zawod.	Knurów 44-220	Dzierżyńskiego 34	20 A
Poradnia Wychow.-Zawod.	Mikołów 43-190	Polusa 4	262-071

REDAKCYJNA POCZTA

Uwaga, uczennice szkół medycznych!

Jesteśmy uczennicami VIII klasy. A zatem w tym roku musimy podjąć decyzję dotyczącą wyboru zawodu. Nas od dawna interesuje medycyna. Dlatego też za pośrednictwem „Redakcyjnej Poczty" pragniemy nawiązać korespondencję z uczennicami liceum medycznego w celu zebrania dodatkowych informacji o warunkach nauki w tej szkole. Pilnie oczekujemy na listy mówiące o tym, jakie są przedmioty, jakie egzaminy, jak wyglądają zajęcia praktyczne.

Jolanta Wirszyn,
ul. Kościuszki 10, 46-220 Byczyna
i Barbara Lechcun,
Gołkowice 14, 46-220 Byczyna.

Gosiu, to nie jest miłość

Chcę się wypowiedzieć w sprawie listu Gośki pt. „Jak wyznać miłość". Moim zdaniem, to co pisze Gośka jest śmieszne. Co mogą oznaczać jakieś tam uśmieszki wymienione z tym chłopcem, lub zaledwie kilka rozmów? Swojego wybranego Gośka nawet dobrze nie zna, a już pała do niego wielką miłością. Skąd wie, że mu się podoba, skoro on ogląda się za jej koleżankami, bo może po prostu są ładniejsze? Nie sądzę, żeby była to miłość, zastanawiam się, czy nie należałoby w tym miejscu użyć słowa sympatia. Sądzę, że do wielkich uczuć należałoby mieć nieco większy dystans. A nuż Gośka srodze się zawiedzie i niebawem do „Redakcyjnej Poczty" przyśle np. taki list: „Poznałam chłopca, zakochałam się w nim. Chodziliśmy ze sobą, było nam dobrze, niestety, nie wiem dlaczego on nagle mnie rzucił. Jestem zrozpaczona, pomóżcie". Dlatego radzę Gosi poczekać z wyznaniami.

Wojtek

Wystawili sobie złe świadectwo

Piszę w sprawie listu „Czy tak powinno się postępować?" (chodziło o nieodpowiednie zachowanie się chłopców w pociągu) wydrukowanego w „Redakcyjnej Poczcie" z 24.I.br. Niestety, takich przypadków jest coraz więcej. Choćby ostatni, który obserwowałam. W styczniu cała nasza klasa udała się na wycieczkę. Jechaliśmy autobusem, który z zakładu pracy wypożyczył jeden z rodziców. Podróżowaliśmy z równoległą klasą. Koleżanki i koledzy z tej klasy zaśmiecili cały autobus i oczywiście nie posprzątali, mimo że wychowawczyni parę razy zwracała im uwagę. Kilkoro z nich zdobyło się nawet na bardzo opryskliwe odpowiedzi. Tymczasem wnętrze autobusu wyglądało katastrofalnie, na siedzeniach i podłodze walały się butelki po piwie, paczki po „Marlboro" lub po „Sportach". Czy wypada, aby tak zachowywali się młodzi ludzie? Jakie świadectwo sobie wystawili tuż przed otrzymaniem świadectw dojrzałości?

Katarzyna Kuźnicka z Warszawy

Majko, zachowuj się naturalnie

Chciałam zabrać głos w sprawie twojego listu „Jak wyznać miłość", który był wydrukowany w nr 2 „ŚM" 5.I.80 r. Nie potrafię zrozumieć Twojego postępowania. Jeżeli chłopak Ci się podoba i już nawiązałaś z nim kontakt w dyskotece, to czy nie możesz do niego podejść na przerwie i spytać wszystko jedno o co, o najbłahszy szczegół, np.: „Jak ci się tańczyło?", „Czy ci się podobały nagrania?", „Jaką masz następną lekcję?" itp. itd. Zachowaj się naturalnie i swobodnie (na ile to będzie możliwe). Jednocześnie dziwię się chłopakowi. Prawdopodobnie chce Ci zrobić na złość lub pochwalić się przed Tobą, jakie to on ma powodzenie. Nie przejmuj się, jeśli rzeczywiście podobasz mu się, to też myśli po nocach o czym z Tobą rozmawiać. Może w końcu nadejdzie taki dzień, w którym obydwoje dojdziecie do wniosku, że trzeba zrobić pierwszy krok. A wtedy nie będziecie się mogli nagadać. Życzę Ci tego. Odwagi!

Paulina Bocheńska
z Tych

ZŁOTO TAJLANDII

Absolutnym władcą tajlandzkich upraw jest król ryż – prawdziwe złoto tego kraju. Stanowi źródło życia i bogactw, a także przedmiot spekulacji, wyzysku i lichwy. Tajlandia zależnie od mniej lub bardziej urodzajnego roku produkuje średnio kilkanaście milionów ton ryżu i dzięki temu kraj ten należy w Azji Południo-Wschodniej do jakże nielicznych potentatów w eksporcie „białego złota".

Azja jest historyczną kolebką ryżu. Stąd uprawa ta rozpowszechniła się na cały świat. Przypuszcza się, że udomowienie ryżu nastąpiło w Indiach, prawdopodobnie na początku trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. O nawadnianiu pól ryżowych można już czytać z ksiąg pisanych w ósmym wieku przed naszą erą, a zbiory ryżu zawsze decydowały, podobnie jak i dziś, o losie milionów ludzkich istnień. Obecnie znanych jest podobno aż siedem tysięcy odmian ryżu i wszystkie stanowią dla ogromnej części ludzkości podstawowy element bytowania. Bo ryż to nie tylko ziarno. Można z niego otrzymać wino i piwo; słoma może być wykorzystywana jako pasza dla bydła, służy też do wyrobu mat, kapeluszy itp. Ryżowe plewy używane są do produkcji materiałów budowlanych, papieru, a także na opał. Wyjątkowo wartościowe są też ryżowe otręby, które stanowią odpad przy łuskaniu ziarna. Zawierają one witaminy i tłuszcze; wyciska się z nich olej używany do wytwarzania kosmetyków, a makuchy oceniane są jako wartościowa pasza dla bydła.

W Tajlandii spichrzem ryżowym jest tak zwana Nizina Centralna, rozciągająca się w dolinie wielkiej rzeki Chao Phraya. Są to w całości niezmierzone pola ryżowe, wśród których żyje i pracuje około czterdzieści procent całej ludności kraju, mimo iż obszar ten stanowi mniej więcej jedną czwartą powierzchni Tajlandii. Nizina Centralna to jakby wielka ryżowa czara, z której żywią się Tajowie i sąsiedzi, będący importerami tajlandzkiego ryżu.

Mozolna jest praca na ryżowiskach, wykonywana najczęściej za pomocą prymitywnych narzędzi pod palącym słońcem tropiku. Nie ma więc przesady w starym przysłowiu, mówiącym, że trzeba „wylać miskę potu, żeby zapracować na miskę ryżu". Uprawa i zbiór ryżu to najważniejsze wydarzenie w życiu azjatyckiego chłopa. Nic dziwnego, że wszystko, co związane jest z tą życiodajną kulturą rolną obrosło legendą, mitami. Ryż i jego poszczególne stadia wzrostu są wręcz personifikowane. Powszechnie też wierzy się na wsi, nie tylko w Tajlandii, że ryż ma swego ducha, że roślina ta, podobnie jak kobieta, staje się ciężarna w chwili, gdy na polu zawiązuje się ziarno. Wieśniacy budują kapliczki dla Bogini Ryżu i składają tam ofiary: kwiaty, betel, tytoń, drobiny żywności. W okresie, kiedy ryż „staje się ciężarny" na polach pojawiają się bambusowe tyki ze wstążkami i skrawkami materiału. Jest także bez liku innych obrzędów znaczących poszczególne etapy prac polowych. Są pieśni, tradycyjne misteria, jest troska biednego człowieka o dobre plony i strach przed głodem.

Bo mimo że w Tajlandii ryżu rodzi się dla wszystkich pod dostatkiem, chłopom, którzy go uprawiają nie żyje się wcale lekko. Bezpośredni wpływ na to mają istniejące na wsi stosunki własnościowe oraz liczna rzesza chłopów bezrolnych. W całym kraju trwa od wieków bardzo rozpowszechniony system dzierżawienia małych kawałków ziemi od bogatszych gospodarzy. Renta dzierżawna jest płacona przeważnie w ryżu i wynosi zwykle połowę zbiorów. Niezależnie od tak wysokiego haraczu wieśniak dzierżawiący grunt jest często jeszcze obowiązany do odrabiania czegoś w rodzaju szarwarku na polach właściciela ziemi.

Do chłopskich nieszczęść należy zaliczyć też stosowany system ustaleńia renty z góry, według zbiorów w latach urodzajnych. Kiedy więc przyjdzie gorszy rok, chłop oddać musi znacznie więcej niż połowę tego co zebrał. Nie jest on jednak w stanie oprzeć się takiej niesprawiedliwości, boi się bowiem, że właściciel ziemi nie odnowi z nim umowy dzierżawnej na następny rok. Wieśniacze krzywdy powiększa jeszcze tzw. tang, czyli kosz – tradycyjna miara ryżu używana powszechnie na wsi. Mierzone tangiem zboże i nieuwzględnianie jego wagi znowu daje szansę oszukania chłopa. Wędrowny kupiec czy miejscowy sklepikarz często uzyskuje dzięki temu pokaźną ilość darmowego ryżu.

Obraz tajskiej wsi byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o legionach lichwiarzy czy kupców-lichwiarzy, którzy od wieków wrośnięci są w wieśniaczą społeczność Tajlandii. Są to ludzie znacznie groźniejsi niż pijawki dręczące kobiety na zalanych wodą ryżowiskach.

Lichwiarskie procenty kształtują się przerażająco wysoko i sięgają do stu procent rocznie. Bywają także pożyczki pieniężne, na zwrot których musi iść część zbiorów. Zaciągnięcie pożyczki wiąże się zawsze ze stratą, ponieważ bierze się je zwykle na przednówku, a spłaca po żniwach, kiedy ceny na ryż są znacznie niższe. Nic dziwnego więc, że często wskutek owych tragicznych, lichwiarskich pożyczek chłop traci ziemię i powiększa szeregi bezrolnych wieśniaków.

Warto o tym wszystkim pomyśleć, kiedy czyta się nastrojowe opisy malowniczych ryżowisk, relacje o pięknych zwyczajach i obrzędach związanych z uprawą ryżu.

JANUSZ WOLNIEWICZ
Fot. **archiwum**

NA POŁUDNIE OD RZESZOWA

Uczniowie VIII a są rozgoryczeni. Od jesieni chodzą do szkoły na popołudniową zmianę i ich dzień jest w związku z tym zupełnie do niczego. Ponieważ ich starsze rodzeństwo uczy się przeważnie poza rodzinną wsią, a młodsze jest jeszcze za małe do roboty, od rana muszą pomagać w gospodarstwie, przy obrządku. W szkole mają po 6–7 trudnych, jak to w ostatnich klasach szkoły podstawowej, lekcji; wychodzą przeważnie o 17,05, kiedy więc dotrą do domu, są już tak zmęczeni, że nie mają głowy do nauki. Podział godzin, jaki wprowadziła na jesieni nowa pani dyrektor, nie odpowiada zresztą nie tylko im. Nigdy nie było tylu narzekań i skarg co teraz. Skąd o nich wiedzą? Stale widzą w szkole jakieś narzekające matki. Przez tyle lat młodsze klasy chodziły na drugą zmianę i było dobrze.

Droga prowadzi z daleka

20 kilometrów od Rzeszowa. Czudec. Zbiorcza Szkoła Gminna. 565 uczniów czyli 18 oddziałów, a jedynie 9 sal lekcyjnych. Nauka na dwie zmiany. Sporo uczniów mieszka poza samym Czudcem, na jego rozległych przedmieściach, w Nowej Wsi i Rzekach, Woli Czudeckiej, Babicy, Wyżnem, Budach, na Zawisłoczu. To wszystko obwód czudecki o promieniu około 4 km. Tyle że droga drodze nierówna. A szkoła mogła załatwić dowożenie młodzieży jedynie z niektórych miejscowości.

Kość niezgody

Przejdźmy teraz do sedna sprawy – ściśle z dochodzeniem i dojazdami dzieci do szkoły związanego – a więc do podziału godzin. Toczy się na ten temat w gronie pedagogicznym spór, który zaczął już przenikać do młodzieży.

Moja wizyta w czudeckiej szkole wypadła akurat w dniu konferencji klasyfikacyjnej, której część pierwsza została poświęcona owemu nieszczęsnemu podziałowi godzin. Miałam więc okazję wysłuchać na gorąco dyskusji stron przeciwnych.

Nauczycielka I: Podział godzin spowodował, że rodzice stracili praktycznie kontakt z dziećmi, które późno wracają do domu. Wiele jest też zastrzeżeń, co do zachowania się młodzieży w czasie wieczornych powrotów ze szkoły. Zbierają się i palą papierosy.

Nauczycielka II – matka ósmoklasisty: Syn wraca do domu z grupką kolegów, bo sam się boi. Zawsze na nich czeka. Idzie z nimi nawet wtedy, kiedy mają fantazję naokoło wieś obchodzić i dodawać sobie przez to parę kilometrów. Rozumiem go. Mieszkamy w Woli Czudeckiej i mocno współczuję dzieciom, które tam idą po nocy. To bardzo nieprzyjemna droga. Dzisiaj też się nie odważę sama tamtędy wracać, tylko będę się oglądała za jakimś znajomym.

Nauczyciel I: To proszę sobie wyobrazić, jak kiedyś szło tą drogą późnym wieczorem dziecko z IV klasy. A chodziły! Teraz, kiedy są na rannej zmianie, mają okazję wracać autobusem pracowniczym WSK.

Nauczycielka III: W zeszłym roku miałam pierwszą klasę. Kiedy dzieci wychodziły, było już ciemniusieńko, śnieg powyżej kolan. Stał taki maluch przed szkołą: „proszę pani, ja się boję iść do domu!" No i co miałam z nimi robić? Dobrze, jak mi się udało zatrzymać jakiś autobus czy samochód, albo jak ktoś wracający z pracy wziął to małe za rękę i poprowadził. A jak nie? Więc choć na początku sama byłam przeciw nowemu podziałowi godzin – mam przecież syna w 6 klasie – i pierwsza mówiłam, że to będzie coś okropnego, teraz widzę jego ogromne zalety.

Nauczycielka II: Ale starsi uczniowie nie mają się kiedy uczyć! Syn wraca do domu czasem i o godzinie 19-tej, z ciężką, napchaną książkami teczką, spocony, siada do posiłku, obiadu i kolacji zarazem, a potem nie mam już sumienia napędzać go do nauki. Wyobraźcie sobie ile lekcji ma, jaki materiał! A tu szkoła ponadpodstawowa za pasem. Pomyślcie o tym, a nie o samym dochodzeniu! A kiedy mają działać kółka zainteresowań, jak wygląda przy takim podziale godzin praca pozalekcyjna!

Nauczycielka IV: W zeszłym roku, przy innym podziale godzin też nie miałam kiedy prowadzić kółka. Ósma klasa kończyła lekcje o 13,30, a ja dopiero o 15,30, więc nikt przez te dwie godziny nie czekał.

Pani dyrektor: W ogóle brak jest sal na organizowanie zajęć. W ubiegłych latach kółka nie istniały, bo nie było warunków. I dalej nie ma. Ale kto koniecznie chciał zorganizować kółko, ten to zrobił. Działa i fotograficzne, i muzyczne, i SKS, i robótek ręcznych, i przedmiotowe.

Nauczycielka II: Mało którzy uczniowie starszych klas korzystają z obiadów. Rodzice się skarżą, że jak dziecko wychodzi z domu o 9,00 czy 10,00 a wraca np. na 18,00, to jest cały dzień o suchym chlebie. I jak ma się uczyć z pustym żołądkiem?

Kierowniczka świetlicy: Świetlica przeznaczona jest dla 120 osób, a przyjmuje i tak 200! Więcej w żaden sposób nie da rady. Odrzucamy podania matek niepracujących, bo tak jest najsprawiedliwiej. W szkolnym sklepiku można sobie kupić świeże bułki, jest też zorganizowane dożywianie: szklanka mleka. Każdą rodzinę chyba na 12 zł miesięcznie opłaty stać. Ale kiedy w styczniu prosiliśmy o zgłaszanie chętnych na luty, nie zgłoszono ani jednego ucznia ze starszych klas.

Nauczyciel II: To, że młodsze klasy kończyły późno, utarło się od lat. I dlatego mówi się teraz, że nie było narzekań. A trzeba było posłuchać tych lamentów i płaczu na wywiadówkach klas młodszych. I to dzieci wychodziły o 15,30 najpóźniej. A obecnie realizujemy nowy program 10-latki, więc zamiast dawnych 18 godzin klasy pierwsze i drugie mają wydłużony czas pracy do około trzydziestu godzin. I dlatego wychodziłyby non stop o 17,30. Więc jeśli tak martwicie się o obecne trudne powroty starszych, to co dopiero byłoby, gdyby na ich miejscu znalazły się małe?

Bez wyjścia?

Tak więc nie jest dobrze i – dobrze w tych warunkach być nie może. Zawsze ktoś będzie pokrzywdzony. Czy jest w ogóle jakieś wyjście z tej sytuacji?

Pani dyrektor myśli głośno, że gdyby tak puścić przez trzy dni klasy młodsze na rano, starsze na popołudnie, a przez następne trzy dni na odwrót, to wtedy pogodziłoby się wszystkich. Wszyscy mieliby takie same kłopoty, dokładnie wszyscy by narzekali i może to by ich w końcu pogodziło. Tylko czy rzecz w tym, żeby wszystkim było jednakowo źle?

Pani dyrektor: Każdy, kto się dzisiaj wypowiadał, ma rację. Każdy. Bo trzeba było wybierać z dwojga złego i wybrało się, jak mnie i większości z nas się wydawało, mniejsze zło. Jedynym radykalnym środkiem, który załatwiłby sprawę, byłaby rozbudowa naszej szkoły. Tego jednak nie ma w planie, bo w przyszłości, kiedy dziesięciolatka ruszy pełną parą, będziemy wykorzystywać na potrzeby zbiorczej szkoły gminnej budynek obecnego liceum ogólnokształcącego w Czudcu.

Rozwiązanie na najbliższą przyszłość przyniesie wiosna. Pani dyrektor wcale bowiem nie obstaje przy tym, że obecny podział godzin jest podziałem stałym. Zmieniła go jedynie na okres jesienno zimowy, na czas krótkich dni. A na wiosnę znów może być taki jak dawniej. Maluchy będą sobie mogły wracać spokojnie do domu nawet i po południu, bo jeszcze przy dziennym świetle. Obecny plan zostanie utrzymany tylko w poniedziałki, dni apeli, aby móc zebrać podczas tych ostatnich poszczególne grupy wiekowe, co pozwoli na lepsze funkcjonowanie systemu wychowawczego.

Na pewno byłoby mniej problemów, gdyby przy ustawianiu klas pierwszych na początku roku szkolnego brało się pod uwagę miejsce zamieszkania uczniów. W jednej klasie mieszkający w promieniu około kilometra – i ta chodziłaby na popołudnie, w drugiej zaś klasie, równoległej, uczniowie mieszkający dalej. Wprawdzie takie dzielenie klas może rozwiązać sprawę, i to częściowo, dopiero za dwa, trzy lata, ale wydaje się, że jest najsensowniejszym wyjściem.

Aż do chwili, kiedy – miejmy nadzieję – szkoła gminna przejmie obszerny, wygodny budynek liceum ogólnokształcącego.

EWA KOSIŃSKA

IV turniej warcabowy

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I KWATERY GŁÓWNEJ • ZHP

Prowadzi Romuald Frey

ZADANIE 7. Białe zaczynają i wygrywają przez opozycję. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 2 punkty.
Ustawienie kamieni: Białe – 27, 32, 37, 38, 48, 49
Czarne: 12, 13, 16, 17, 21, 24, 26, 34, 39

ZADANIE 8. Białe zaczynają i wygrywają przez zbicie wszystkich kamieni przeciwnika. Należy wskazać jak do tego doszło. Za prawidłowe rozwiązanie – 3 punkty.
Ustawienie kamieni: Białe – 11, 15, 16, 17, 20, 21, 24, 25, 29, 30, 32, 34, 37, 38, 49, 50
Czarne: 4, 6, 8, 9, 12, 14, 17, 22, 23, 27, 28, 35, 36, 40, 43, 45

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań – 10 dni licząc od daty ukazania się numeru. Należy je przesyłać pod adresem redakcji „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Na kopercie lub kartce pocztowej prosimy zaznaczyć „IV turniej warcabowy".

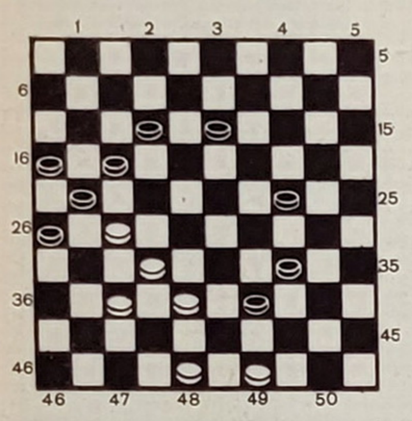

7

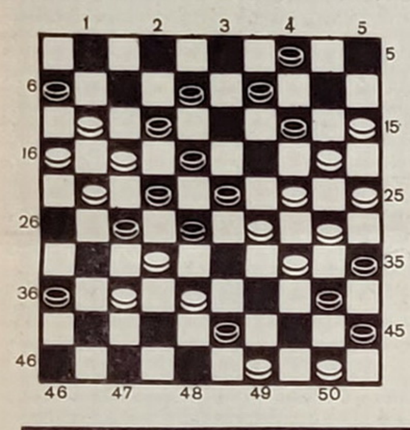

8

GWIAZDOZBIÓR

W czasie zeszłorocznych Dni Filmu Radzieckiego poznaliśmy kilka nowych wybitnych filmów, a także mieliśmy okazję oglądać w nich znanych aktorów w rolach zupełnie odmiennych niż prezentowane dotąd. Jednym z nich był Lew Prygunow – ciekawa osobowość, znany aktor, ale od niedawna dopiero aktor rzeczywiście zaskakujący publiczność swoją wszechstronnością.

W filmie „Szukaj wiatru" Władimira Lubomirowa, prezentowanym w czasie ostatniego przeglądu, zagrał rolę Wiktora – białogwardyjskiego porucznika, który stanął w obliczu dramatycznego moralnego wyboru.

Zanim doszło do zagrania tej interesującej roli, groziło mu najpoważniejsze dla aktora niebezpieczeństwo – zaszufladkowanie, przypisanie do grona świetlanych, heroicznych bohaterów wojennego kina radzieckiego, którzy budzą zawsze sympatię widza, ale nie mogą zaspokoić ambicji artysty. Artysta poszukuje bowiem zawsze nowych ról, sytuacji i środków wyrazu.

Lew Prygunow urodził się w Ałma-Acie. W małym domku obok botanicznego ogrodu jako syn nauczyciela botaniki snuł swoje pierwsze życiowe projekty. Nie były one zbyt oryginalne. Chciał po prostu kontynuować dzieło ojca. Razem chodzili w góry i tam młody Lew wędrując wielokilometrowymi trasami obcował z przyrodą: kompletował swój zielnik i zapamiętywał złożone łacińskie nazwy traw i kwiatów, podpatrywał życie ptaków i zwierząt. – Wszystko wskazywało, że przy tak wyraźnie zarysowanych zainteresowaniach i zdolnościach zostanie przyrodnikiem.

Nikt nie wie, nawet najbliższa rodzina, dlaczego po dwóch latach studiów Prygunow rzucił wydział nauk przyrodniczych. Pojechał do Leningradu i tam z powodzeniem zdał egzaminy wstępne na wydział aktorski Instytutu Teatru, Muzyki i Filmu.

Już w 1962 roku, jako student III roku, zagrał rolę bohatera filmu o młodym marynarzu. Lew przekazał swemu filmowemu rówieśnikowi wszystkie swoje cechy, to czym sam żył w owym czasie: młodzieńczy zapał, entuzjazm do pracy, poświęcenie, pasję. Zagrał trochę naiwnie, ale wzruszająco. Zapewne zaważyło to na następnej propozycji, która przyszła prawie natychmiast po debiucie. W „Mam dwadzieścia lat" zagrał lejtnanta Żurawliewa. Był to tylko epizod, ale bardzo ważny dla filmu.

Włoski reżyser Giuseppe De Saitis bez żadnych prób zdecydował się następnie powierzyć Prygunowowi jedną z głównych ról w filmie „Oni szli na Wschód". Zagrał więc rolę młodego Włocha – przedstawiciela setek Włochów, zmuszonych przez faszyzm do udziału w krwawych walkach, którzy w dalekiej, niepojętej dla nich Rosji znajdowali śmierć.

Grał więc rolę po roli – a wszystkie były właściwie takie same, zmieniały się tylko imiona, zawody, czasem narodowości: żołnierz Grisza w rosyjsko-rumuńskim filmie „Tunel", lotnik francuskiej eskadry „Normandia-Niemen" – Jacques, z którym poznaliśmy się w filmie Jurija Ozierowa „Wyzwolenie", Witalij Boniwur – legendarny bohater wojny domowej w filmie „Serce Boniwura". Publiczność poznała go dobrze i polubiła, a wtedy... zdecydował się na przerwę.

Zaniepokoiła go jednorodność tych wszystkich ról. Próbował znaleźć dla siebie coś innego na scenie. Sztuki klasyczne, dramaty Gribojedowa, rola Juliana Sorela w spektaklu Teatru Studio „Czerwone i czarne" wg Stendhala... Teatr dawał mu o wiele większe możliwości wszechstronnego „wygrania się" niż jak dotąd ekran. Ale filmu już wyrzec się nie potrafił. Zaczął szukać dla siebie odpowiednich ról. Walczył o nie, wręcz wykłócał się, przedstawiając swój punkt widzenia. Jedną z takich wywalczonych ról jest właśnie Wiktor w „Szukać wiatru", ale są one już inne: bohaterowie cyniczni, aferzyści, urocze lekkoduchy, osobowości niespokojne, bezkompromisowe, których działanie wywołuje nierzadko sprzeciw, choć urok osobisty tych postaci budzi u widzów sympatię. Prygunow demonstruje w tych ostatnich rolach nie tylko świetną technikę, umiejętność improwizacji, ale i znajomość charakteru ludzi, którzy znajdowali się w krytycznym momencie swego życia na granicy dobra i zła.

Poszukiwania Prygunowa nie dotyczą wyłącznie ról filmowych, artysta szuka równocześnie swego miejsca w życiu prywatnym.

Kilka lat temu przyjechał znów do Ałma-Aty. Jak w dzieciństwie wyprawił się w góry. Kiedy wrócił do domu – zaskoczył samego siebie! Wziął pędzel i zaczął malować. Teraz ma w swej kolekcji dziesiątki płócien: pejzaże, martwe natury, portrety. Jego przyjaciele ze środowiska malarskiego namawiają go, by zrobił wystawę, obiecują pomoc. Ale Lew na razie nie zgadza się – twierdzi, nie lubi pochopnych decyzji...

Oprac. EWA BIELSKA

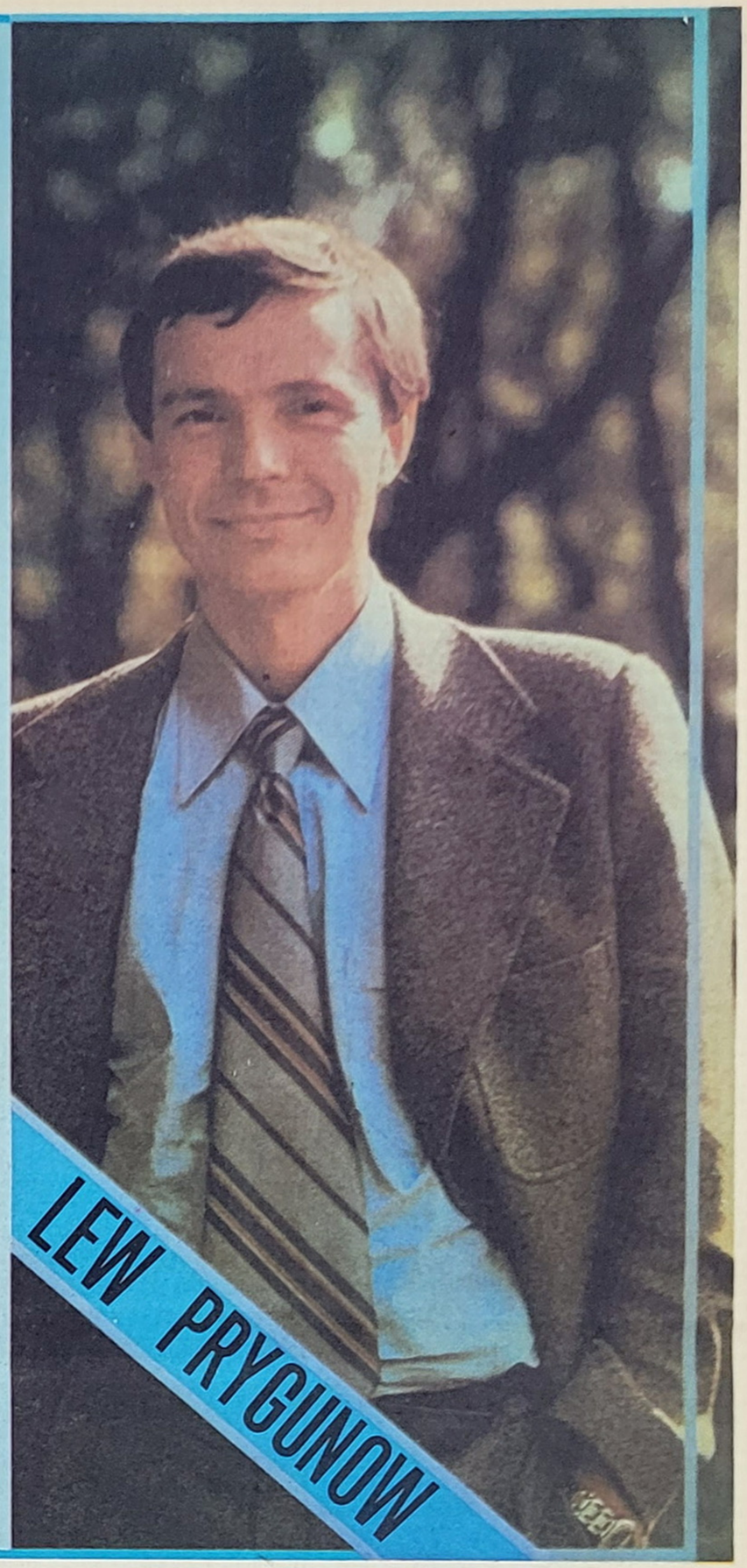

FAN-TAZJA W KRATKĘ

DOM MODY świata młodych

Ogromny mam kłopot z odpowiedziami na Wasze listy, w których pytacie jaki materiał (wzór, kolor) jest obecnie najmodniejszy i jaką w związku z tym powinnyście sobie sprawić sukienkę, bluzkę czy spódnicę. Kłopot ten bierze się stąd, że co prawda funkcjonują takie wzorniczo-kolorystyczne „przeboje", ale po pierwsze – nie zawsze można technicznie sprostać ich wymaganiom (był np. taki okres, krótki, kiedy „wielkie żurnale" lansowały materiały we wzór imitujący... centkowane lamparcie futro), a po drugie – są to na ogół przeboje tak krótkotrwałe, że zanim się zdobędzie odpowiedni materiał i wykona z niego wymarzony ciuch, to... przebój ów zamienia się w tzw. pieśń przeszłości, po trzecie zaś – przebój przebojem, ale człowiek człowiekiem i wcale nie musi być tak, że coś, co najmodniejsze jest akurat tym, w czym danej dziewczynie jest najbardziej do twarzy. I ten ostatni wzgląd szczególnie bym podkreśliła, namawiając do dużej w tej dziedzinie ostrożności i rozwagi. Pewnie, moda się zmienia i naturalne jest, że zmiany te bierze się pod uwagę (w miarę, w miarę!), bo inaczej człowiek by się odróżniał „na śmiesznie" od reszty. Myślę w tym momencie o takich zmianach jak długość i ogólny zarys sylwetki (zdecydowane różnice w fasonach i krojach poszczególnych części garderoby), ale akurat kolorystyka jest tym, co najbardziej indywidualne i nie sądzę, żeby sensowne były jakieś radykalne odstępstwa (w imię mody) od tego, co się lubi. Bo po pierwsze – w najmodniejszym nawet, ale nielubianym kolorze nikt nie będzie się czuł dobrze, a po drugie – ciuch, który odbiega kolorytem swym od tego, co się posiada, do niczego nie pasuje, albo do mało czego i w związku z tym niewielki jest z niego praktyczny pożytek.

W związku z tym na pytanie, w jakim kolorze sukienkę (czy coś innego) powinnam sobie teraz sprawić?, odpowiadam – w takim, w jakim dobrze się czujesz, jaki ci się podoba i do którego będą pasowały twoje buty, torebka, apaszka, kurteczka... itd. Natomiast dziewczynom, którym absolutnie brak w tej materii fantazji jedną rzecz podpowiem – zastanów się, czy nie zapasjonowałaby cię kratka! Duża, mała, dwukolorowa, wielobarwna..., różna. Ma masę zalet. Pasuje do niej większość rzeczy jednobarwnych (każdy kolor występujący w danej kratce, biały i czarny do wszystkich kratek, ciemny brąz i ciemny granat do niemal wszystkich, a poza tym może być jeszcze wiele innych ciekawych zestawień), jest bardzo wdzięczna w wyglądzie – młodzieńcza i wesoła, wiecznie modna – nie ma obawy, że ktoś człowieka posądzi o to, że z modą jest na bakier; kraciastych materiałów w różnych gatunkach można dostać całkiem sporo.

Oczywiście, nie wszyscy muszą kratki lubić. Ale też ja nikogo do nich nie namawiam. Podpowiadam jedynie rzecz do indywidualnego zastanowienia się – że warto pofantazjować sobie w kratkę.

RIUSZKA

Pod tablicą

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Od tamtej pory przestała się denerwować. I tak, dzień za dniem, zaczęła się codzienna praca praktykantki.

Lekcja w IIIa. Bożena dużo o nich słyszała dobrego. Że piekielnie inteligentni, znają nieźle język i mają poczucie humoru. To ważne informacje dla nauczyciela.

„O rany, to my tak dorośle wyglądaliśmy?! Niemożliwe. Dziewczyny jak z żurnala, niektóre to nawet oko mają „zrobione". No, no, nieźle. A ten, jak on się nazywa..."

– Zobacz, jaki bomba chłopak! – Bożena trąca koleżankę.

W roli nauczyciela czuje się świetnie. Po pierwsze dlatego, że czuje nić sympatii między sobą a tymi młodymi. Po drugie, że widzi efekty swojej pracy. To znaczy, że jest jasne to, czego naucza.

Na przerwie podchodzą „jej" uczniowie. Najczęściej pytają o sprawy związane z angielskim, ale już to, że pytają, jest powodem do radości.

Na studiach uczono ich, że każda lekcja musi mieć dokładnie opracowany konspekt. Bożena o tym wszystkim myśli w drodze do szkoły. I to wystarcza. Przynajmniej na razie.

Znowu IIIa. Lekcja o sporcie. Na początek pytanie.

– Kto interesuje się sportem?

Cisza. Bożena śmieje się w duchu. Myślą, że w ten sposób unikną pytania. Czego oni się boją?! Powoli jednak zaczynają się rozkręcać i pod koniec lekcji ona już tylko słucha. To jedni z najlepszych.

Bożena stawia sporo stopni. Do żadnych pani Kraśko nie ma zastrzeżeń. Zresztą stopnie są bardzo dobre. „Kiedy było się w szkole, człowiek uważał, że nauczyciel to taka bestia, która tylko czyha, żeby łupnąć gola. A to nieprawda. Zanim się komuś postawi dwójkę, długo ciągnie się go za uszy. To naprawdę dla żadnej ze stron nie jest miłe."

Ona postawiła chyba ze cztery dwóje. Naprawdę usiłowała ich ratować, ale nie uczyli się zupełnie.

Szybko upływa prawie miesiąc praktyk. Ostatnia lekcja w IIIa, w Dzień Nauczyciela. Są kwiatki, miły nastrój. Bożena dla świętego spokoju pyta:

– Co było na dziś zadane?

– Nic! – zgodnie ryczy cała klasa.

Żadnej innej odpowiedzi nie spodziewała się oczywiście. „Oni pewnie myślą, że ja już zapomniałam o tym, jak było w szkole. Cieszą się jak dzieci, którym udało się schować cukierka. Ale przecież wiedzą, że i ja wiem".

Z dziennika praktyk.

„Pani Bożena Wojciechowska – Kuczyńska odbyła praktykę pedagogiczną w LO im. J. Kochanowskiego w Warszawie. W tym czasie hospitowała wszystkie lekcje prowadzone przeze mnie i swoich kolegów. Przeprowadziła także kilkanaście lekcji samodzielnie. Pani Kuczyńska ma niewątpliwie talent pedagogiczny – świetne tempo lekcji, dobra organizacja materiału, intensywna praca, a przede wszystkim zaangażowanie w pracę pedagogiczną pozwalają przypuszczać, że w przyszłości będzie doskonałą nauczycielką. Praktykę oceniam jako bardzo dobrą. W podpisie E. Kraśko."

ANNA CHEŃSKA

Wydawałoby się, że znamy już dość dokładnie nasz Układ Słoneczny, tymczasem każda nowa sonda międzyplanetarna odkrywa coraz to nowe zagadki planet i ich księżyców. Tak było z sondami Pionierów, tak też jest i z Voyagerami. Dziś przedstawiamy jeden z tzw. Galileuszowych księżyców Jowisza – Io, na którym sondy odkryły sporo nie znanych dotąd szczegółów. Polecam ponadto korespondencję Darka pt. „Podróż do centrum Galaktyki" oraz „Jadalne meble" Zbigniewa Raczkiela.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Satelita podobny do Ziemi

Satelita planety Jowisza – Io ma podobne cechy do cech naszej rodzimej planety Ziemi. Do tego wniosku doszli naukowcy amerykańscy, którzy badali materiały fotograficzne przekazane przez stacje międzyplanetarne „Voyager – 1 i 2", które przeleciały obok Jowisza w odległości około 300 tys. km. i wykonały zdjęcia tej największej planety Układu Słonecznego i niektórych jej satelitów m.in. Io. Analiza zdjęć Io wykazała bowiem, że to ciało niebieskie pokryte jest grubą warstwą materiału wulkanicznego. Natomiast kraterów powstałych we wczesnym okresie dziejów Io, w wyniku uderzeń meteorytów, widać zaledwie kilka.

Na zdjęciu Io widoczny jest wielki czynny wulkan. Wskazuje to, iż księżyc ten jest ciałem aktywnym, którego jądro jest roztopione. Wulkan wznosi się nad okolicą na 1600 m, a jego krater, o średnicy 48 km otoczony jest ciemnymi potokami lawy, długości do 98 km. Z krateru na wys. ok. 500 km wybucha z prędkością 150 do 300 km na godz. popiół wulkaniczny, który po 5–10 min. osiada na powierzchni. Rzeźba powierzchni Io jest bardzo urozmaicona. Wykryto tam długie, wijące się rowy, formacje podobne do naniesionych wiatrem namulisk. Rzeźba krajobrazu Io jest bez wątpienia śladem długotrwałych procesów, istoty których uczeni określić nie mogą. Na stokach wulkanu wzdłuż potoków lawy nie ma kraterów powstałych od uderzeń meteorytów, z czego uczeni wnioskują, że wulkan powstał stosunkowo niedawno. Powierzchnia Io jest gładka i ma zabarwienie ciemnoczerwone, żółte i białe. W okolicach bieguna południowego odkryto płatki błyszczącej, ciemnoniebieskiej substancji, która jak przypuszczają uczeni, jest zamarzniętym gazem wydobywającym się z krateru wulkanu.

To zdjęcie Jowisza (z lewej) oraz jego księżyca Io wykonane zostało z pomocą komputera w laboratorium. Materiału zdjęciowego w „kawałkach" – dostarczyła sonda „Voyager 2", z którego złożony został całościowy obraz

Fot. archiwum

Iwona Tomaszewska (l. 14)
ul. Radzyńska 32
08-110 Siedlce

PODRÓŻ DO CENTRUM GALAKTYKI

Rakieta Saturn V, która odegrała ważną rolę w programie Apollo, osiąga prędkość około 40 000 km/h. Czerpie ona energię napędu z paliwa chemicznego. Cóż to jednak znaczy w porównaniu z prędkością światła, tj. 300 000 km/s. Podobnego rzędu do rakiety Saturn V, jest prędkość sondy kosmicznej Pionier F, która w 1972 r., po zbliżeniu do Jowisza, opuściła na zawsze Układ Słoneczny i – w najlepszym wypadku – za 80 000 lat powinna znaleźć się w obszarach Galaktyki, w których możliwe jest istnienie innych cywilizacji. Teoretycznie sonda ta może szybować około 100 milionów lat, przebywając w tym czasie odległość 3000 lat świetlnych, ale kto po tylu latach będzie jeszcze interesował się naszym „listem w butelce".

List ten moglibyśmy określić mianem „magazynu ilustracyjnego" dla istot pozaziemskich. Na pozłacanej płytce aluminiowej o wymiarach sześć na dziewięć cali wygrawerowany jest dość dziwny na pierwszy rzut oka rysunek: stojący mężczyzna unosi dłoń w powitalnym geście, a obok, w pozie nic nie znaczącej, stoi kobieta. Kilka kółek oraz wzór przypominający popękaną szybę uzupełniają rysunek. Jaką treść chcieli zawrzeć w nim uczeni, którzy, umieścili go na pokładzie Pioniera? Przede wszystkim spodziewają się oni, że wysłana przez nich „butelka z listem" zostanie w jakimś obszarze wszechświata odnaleziona. Opakowanie dokumentu – Sonda Kosmiczna Pionier F – bez wątpienia zwróci na siebie uwagę ewentualnych znalazców jako nie ulegające wątpliwości dzieło istot inteligentnych. Ale ani my, ani nasi potomkowie nie odniosą z tej korespondencji żadnych korzyści. Co najwyżej Pionier F wyląduje kiedyś w jakimś pozaziemskim muzeum jako wytwór prymitywnej i dawno zaginionej kultury. Ewentualność taka może się komuś wydać pasjonująca, z punktu widzenia jednak możliwości kontaktu z pozaziemskimi cywilizacjami wygląda ona raczej beznadziejnie. Optymiści słusznie zwracają uwagę, że w możliwej do przewidzenia przyszłości paliwa chemiczne naszych rakiet staną się znacznie doskonalsze. Z pewnością dwudziestokrotne zwiększenie prędkości rakiet jest najzupełniej realne. Przy prędkościach rzędu 800000 km/h, czyli 220 km/s lot z Ziemi na Księżyc trwałby wówczas tyle, ile trwa dzisiaj lot z Monachium do Londynu. Podróż w jedną stronę do najbliższych obszarów wszechświata, w którym możemy spodziewać się istnienia innych cywilizacji (10 do 20 lat świetlnych) trwałby co najmniej 200 lat, czyli 400 lat w obie strony. Biorąc pod uwagę średnią długość życia mieszkańców Ziemi, brzmi to mało zachęcająco.

Rakiety z napędem jądrowym nie odegrają więc większej roli przy ewentualnych lotach galaktycznych choćby z tego względu, że trudno byłoby znaleźć amatorów chętnych do podjęcia niepewnych i trwających setki lat podróży. Pozwólmy sobie jednak na chwilę nieograniczonego optymizmu i załóżmy, że ziemskim fizykom, technikom uda się kiedyś rozwiązać problem kontrolowanych reakcji termojądrowych. Silnik termojądrowy w stosunku do silnika atomowego będzie miał co najmniej 10-krotnie większą wydajność. Mimo to prędkość statków kosmicznych będzie tylko dwukrotnie większa. Podróż tam i z powrotem – do obszarów odległych od nas o 10 lat świetlnych i na Ziemię – będzie trwała co najmniej 100 lat, a przy wyprawach do odległości 800 lat świetlnych musimy się liczyć z podróżami trwającymi 8000 lat. Tak więc napęd termojądrowy nie zmieni zasadniczo sytuacji. Pozwólmy sobie wobec tego na zupełne szaleństwo i przypuśćmy, że ziemskim technikom udało się skonstruować rakietę fotonową. Źródłem jej energii napędowej są fotony powstające podczas kontrolowanego procesu anihilacji cząstek materii i antymaterii. Teoretycznie rzecz biorąc, taki majsterszтyk sztuki inżynierskiej może rozpędzić się do prędkości równej 98% prędkości światła! Niestety, szanse realizacji takiego urządzenia są praktycznie równe zeru.

Myślę, że poruszony przeze mnie problem zainteresuje wielu czytelników.

Dariusz Sobieralski,
ul. Wiktorska 6/6, 62-130
Gołańcz

Na wypadek głodu w kosmosie – jadalne meble

Pisząc o podróżach międzyplanetarnych czytelnicy przedstawiają rozwiązania techniczne i możliwości dotarcia do gwiazd. Zapominamy m.in. o sprawach żywności. Chciałbym więc poruszyć tę sprawę podczas długoletnich podróży międzyplanetarnych.

W poszukiwaniu rozwiązania problemu żywności uczeni amerykańscy, zajmujący się sprawami kosmonautyki, zwrócili uwagę na opowiadania podróżników polarnych, którzy w czasie głodu zjadali własne psy pociągowe.

Jeden z uczonych amerykańskich, wzorując się na takich podróżnikach, postanowił stworzyć jadalne meble. Opracował więc substancję żywnościową złożoną ze sproszkowanego mleka, mączki bananowej, płatków owsianych, kaszy kukurydzianej, dodatków smakowych oraz wody. Gdy substancję tę „wypiekał" w temperaturze 150 stopni pod ciśnieniem 1,5 atmosfery powstały twarde płyty, z których później stolarze mogli wykonywać umeblowanie. W czasie pokazu, urządzonego dla naukowców i dziennikarzy, uczony ten oderwał duży blat stołu, połamał go na części, następnie pogruchotał młotem na drobne kawałki i włożył je do małego młynka. Po zmieleniu otrzymał proszek, zmieszał go z wodą, poczekał pewien czas, a gdy wytworzyła się masa o gęstości budyniu, zaczął częstować obecnych. Potrawa „ze stołu" przypadła wszystkim do smaku. Jak twierdzi autor tego pomysłu, umeblowanie kabiny kosmicznej wykonane z jadalnej substancji będzie stanowiło rezerwę pokarmową na „czarną godzinę" i zapewni kosmonautom ratunek w trudnych sytuacjach.

Zbigniew Raczkiel
ul Kasztanowa 41/12
16-300 Augustów

Strych wygląda dzisiaj zupełnie inaczej niż wczorajszej nocy. Przez szpary w dachu wpada ukośne światło, drobinki kurzu tańczą w jasności. Pod ścianami piętrzą się jakieś skrzynie i walizy, jedne zamknięte na głucho, inne wyrzucające z siebie papiery, pomięte stroje, mnóstwo dziwnych i nigdy nie widzianych rzeczy. A tu cały kąt zastawiony meblami, rodzonymi braćmi tamtych z wielkiego pokoju na dole. Tylko te z dołu są błyszczące i dumne a te ze strychu przysypane wieloletnim pyłem, osnute pajęczynami, oskarżająco ukazują swoje kalectwo: wyłamane zamki, strzaskane szuflady, porysowane drzwi, stłuczone szyby szczerzące się soplami szklanych ostrzy.

Popychana ciekawością Róża wyciąga jakąś szmatę. Albo to aksamit, albo coś bardzo podobnego, ta szmata otrząśnięta z kurzu i uniesiona za szerokie rękawy staje się nagle suknią. Ciekawe, jakby Róża wyglądała w czymś takim? Przez moment ma ochotę pobiec z tą dziwną suknią i przymierzyć ją przed lustrem w białych ramach, ale zaraz porzuca ten pomysł. Nie chce zostać zaskoczona przez któregokolwiek mieszkańca tego domu w chwili krygowania się przed lustrem. Na samą myśl, że mogłaby ją na tym zajęciu przyłapać krucha kobieta, Róża drętwieje.

Rzuca suknię na górę podobnych strojów. Po co im taka kiecka? W czymś takim albo się gra w filmie, albo się idzie na bal!

Niemal bezszelestnie, na czubkach palców, Róża posuwa się po strychu, odkrywając zasypane grubą powłoką pyłu skarby: stos książek, niektóre ze złoceniami na grzbietach, widocznymi dopiero po zdmuchnięciu (kurz ulatuje szarym obłokiem). Inne, wielkie i ciężkie, same się otwierają, ukazując pożółkłe ilustracje; kościoły, dzwonnice, kaplice, domy, baszty, ratusze, utrwalone przez rysownika cieniutką, prawie niewidoczną kreską detale kolumn, witraże, gotyckie rzeźby, barokowe amorki unoszące w pulchnych paluszkach festony kwiatów i owoców. W tej są same wizerunki greckich rzeźb; Artemida z kołczanem, Dionizos z kiścią winogron, Niobe przygarniająca do siebie córkę, Demeter z pękiem maków, mały chłopczyk duszący za szyję okazałą gęś, młodzieniec prowadzący za uzdę wspaniałego konia z ufryzowaną grzywą. W tamtej zaś książce tylko grobowce; na kamiennych płytach śpią zamarli o złożonych modlitewnie dłoniach, po bocznych fryzach wędrują nie kończące się procesje opłakujących, w nogach czuwają lwy wsparłszy łby na wyciągniętych sztywno łapach.

– Wiedza o sztuce – mruczy pod nosem Róża odkładając kolejną książkę. Nie jest to jej ulubiony przedmiot i gdyby chodziło o nią, nie kupowałaby nigdy takich albumów. – Ale dlaczego nie ma żadnych fotografii, tylko rysunki?

Za zwałem książek piętrzą się góry czasopism. Róża wyciąga na chybił trafił jakiś tygodnik, wpatruje się w zmatowiałe zdjęcia z jakiegoś balu, bal jest retro, ale te kiecki mogłyby być i teraz, takie lejby z podrzuconą górą, fryzury też mogłyby być teraz, obowiązkowa grzywka, włosy przycięte na pazia, ich końce filuternie podwijają się na policzkach; podpisy pod zdjęciami głoszą, że pani taka a taka została królową balu, suknia z firmy „Herse", pantofelki z furmy „Hiszpański". Na następnej stronie jest duża reklama, na której pan w cylindrze wącha z zachwyconą miną flakonik. Te pisma są bardzo stare, jeszcze sprzed wojny. Tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci rok jak można przeczytać pod tytułem „Światowid".

Że oni nie boją się pożaru – pomyślała sobie Róża. Bo naprawdę to ryzykowne trzymać na poddaszu tyle starych mebli, sterty książek i pism, mnogie kufry z odzieżą. Wystarczy krótkie spięcie, żeby ta rupieciarnia zapaliła się jak fajerwerek. Długo musieli piętrzyć pod samym dachem te wszystkie graty. – Ja bym to wszystko wyrzuciła i już.

Jeszcze tylko dotknęła podzwaniających cicho kryształowych wisiorków żyrandola, jak dziwna ośmiornica rozkładającego ramiona w najdalszym kącie, i dmuchnęła we fryzowane pióro okalające rondo zrudziałego kapelusza. Kichnęła, gdy zastały kurz zasypał jej twarz.

A może bym nie wyrzuciła? – zastanowiła się przywędrowawszy z powrotem do drzwi białego pokoiku. – Niektóre rzeczy są całkiem fajne. Jakby była jakaś zabawa z przebieraniem, to by się przydały.

Podczas oględzin wywietrzały jej z głowy przeżycia wczorajszego wieczoru, dopiero teraz uświadomiła sobie, że znowu będzie musiała stanąć, twarz w twarz z tymi ludźmi, i poczuła taki sam przestrach, jaki ogarnął ją, kiedy tkwiła w objęciach niskiej kobiety.

E, nie zjedzą mnie. – Długo czesała włosy popatrując w srebrny owal lustra, nie wiadomo czemu wyszła fryzura trochę podobna do tych ze starych fotografii. – Zresztą zaraz im powiem, że wyjeżdżam. Mama nie może się gniewać, kiedy jej opowiem o wszystkim. Albo, jak chce, niech się złości, ja się stąd, tak czy tak, ulatniam.

Wcale nie zauważyła, że w drzwiach stanęła przygarbiona Natalia.

Cdn.

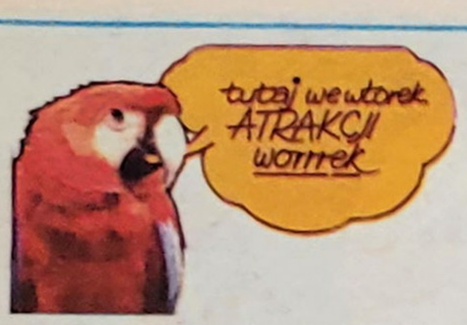

Worek atrakcji starrrej arrry proponuje ci na najbliższy wieczór doskonałą zabawę, sztuczki, psikusy. Rozrywkę, która – jak się przekonasz – daje też do myślenia. Doszły nas słuchy, że psikusy z worka atrakcji wykorzystywano „pod ławką" w czasie lekcji. Arra kategorrycznie zabrrania! Można tylko na przerwie.

Znowu „diabły w kieliszku"?

PŁYWAJĄCA SZPILKA, PŁYWAJĄCY GROSZ

Szpilki w kieliszku? To już było! Ale dziś mamy szpilkę... pływającą! Nalej pełno wody do kieliszka lub szklanki, połóż ostrożnie na powierzchni kawałeczek bibułki z papierosa a na niej szpilkę. Końcem drugiej szpilki ostrożnie zatapiaj brzegi bibułki, aż cała zatonie. Ale leżąca dotychczas na niej szpilka pozostanie na powierzchni wody, będzie pływała! Teraz spróbuj położyć szpilkę na wodę bez bibułki, tylko leciutenko ją przedtem natłuść. Pływa!!! Przybliżając do naczynia magnes możesz nią nawet poruszać! Podobnie pływa moneta groszowa, a nawet dziesięciogroszówka. Spróbuj!

gu; w ostateczności może być wodociągowa – przegotowana i ostudzona.

● Aby bańki się trzymały, dodaj do roztworu kilka kropli gliceryny.

● Jeśli uda ci się „za jednym zamachem" wydmuchać bańkę o średnicy 10 cm – roztwór jest dobry. W przeciwnym razie należy rozpuścić w nim jeszcze tyle mydła, aż próba się powiedzie. Idealny jest wtedy, gdy palcem, umoczonym w roztworze nie będziesz mógł „przekłuć" wydmuchniętej bańki.

A teraz kilka propozycji naszych sztuczek na wieczór puszczania baniek:

Kwitnąca bańka. Kapnij roztworem na kwiatek w wazonie, a potem „posadź" na nim niedużą bańkę. Będzie się tam trzymała niewiarygodnie długo.

Bańka w bańce. Za pomocą lejka wydmuchaj na powierzchnię stołu wielką „pół-bańkę" (jak na rysunku). Dobrze umoczoną w roztworze słomkę włóż do jej wnętrza i wydmuchaj tam kolejną „pół-bańkę" – już nieco mniejszą. I tak aż do najmniejszej. Kto wydmucha więcej baniek jedną w drugiej?

Cylinder. Zrób z drutu dwa pierścienie – jak na rysunku. Wdmuchaj między nie bańkę. Przekłuj dół i górę, rozciągaj pierścienie do utworzenia cylindra-rury.

Zdmuchniesz świecę? Wydmuchaj dużą bańkę, najlepiej lejkiem. Skieruj następnie ustnik na płomień świecy. Płomień drga, ale czy uda ci się zgasić świecę powietrzem wydmuchiwanym z bańki?

Jak widzisz – pomysłów może być wiele: łańcuch z baniek, kto wydmucha największą, najbardziej kolorową, wirującą, czyja najdłużej utrzyma się w powietrzu itp. Pole do fantazji olbrzymie!

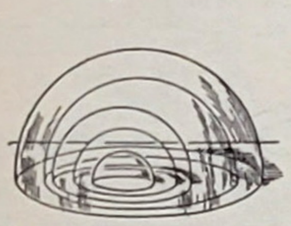

DZIŚ PUSZCZAMY BAŃKI!

Kto by nie umiał puszczać mydlanych baniek?! No, właśnie! Ale prawdziwa zabawa z bańkami zaczyna się tam, gdzie kończy się bezmyślne dmuchanie w słomkę. Nauczymy cię tej zabawy, nie pożałujesz.

● Przed puszczaniem baniek rozłóż na podłodze pokoju stare gazety, rodzina pochwali cię za troskę o porządek.

● Do przyrządzania roztworu używaj zwykłego mydła do prania (nie toaletowego) i wody deszczowej lub z rozpuszczonego śnie-

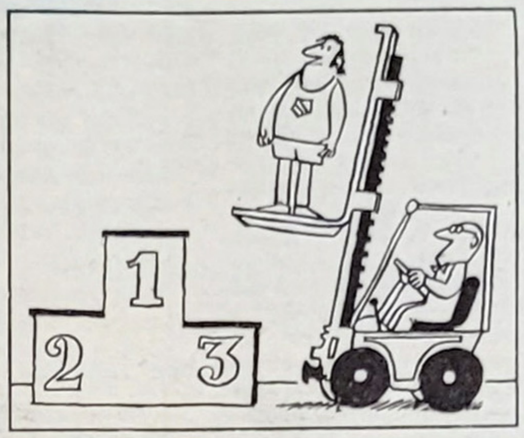

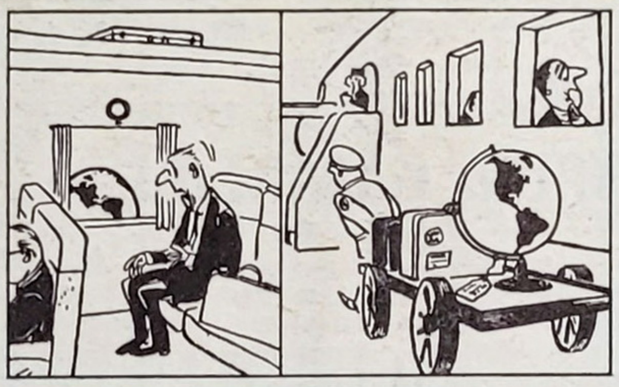

BEZ POD-PI-Su

Czy wzrok cię nie myli?

TAJEMNICZE GWOŹDZIE FAKIRA

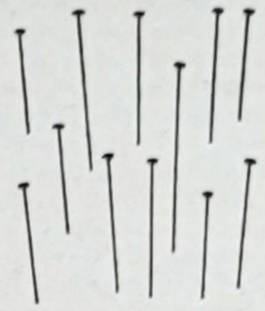

Oto gwoździe fakira – narysowane, nieruchome. Ale ty możesz spowodować, że zaczną się poruszać! Zrób dokładnie tak: zegnij tę stronę zgodnie z kierunkiem biegu wierszy mniej więcej na pół. Trzymając ją prostopadle do twarzy na wysokości twoich dziurek od nosa, wyszukaj w miejscu zgięcia taki punkt, z którego patrząc jednym okiem na te gwoździe (drugie oko zasłoń) – zobaczysz je jakby wbite pionowo w papier. Kiedy znalazłeś ten punkt, przesuń trochę gazetę w lewo i w prawo – zobaczysz zdumiewający efekt: „wbite" w papier gwoździe przechylają się też na lewo i prawo jakby je ktoś od dołu poruszał!

Jeśli dłużej popatrzysz...

TEATRZYK WZROKOWYCH ILUZJI

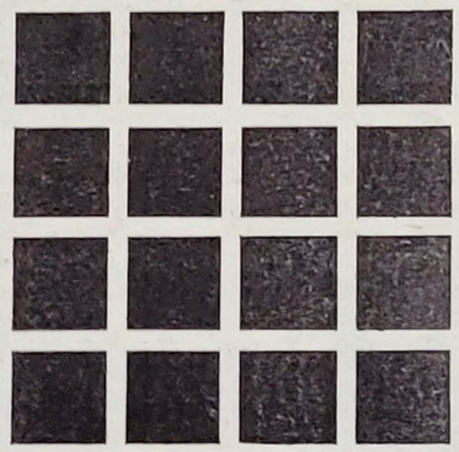

1

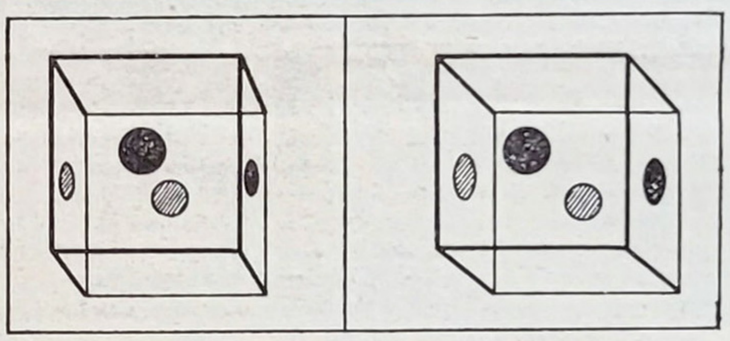

2

Oto jeszcze dwa złudzenia wzrokowe. I nie ma w tym żadnego oszukaństwa! Na rysunku pierwszym – na skrzyżowaniach białych linii – **jeśli dłużej popatrzysz** – pojawiają się i znikają, jakby wybuchały, szare plamy. W rzeczywistości nie ma tam żadnych plam, a zjawisko to powstaje w wyniku wpatrywania się w kontrasty. Na rysunku drugim – zjawisko jeszcze ciekawsze. Zbliżając i oddalając od oczu oba narysowane płasko sześciany, zobaczycie w pewnym momencie trzeci – ale plastyczny, trójwymiarowy, jakby zawieszony w powietrzu między dwoma istniejącymi na rysunku. Widać wyraźnie jego głębię! Nie zniechęcaj się, czasem potrzeba kilka minut i kilku prób, żeby ujrzeć ten nieistniejący w rzeczywistości trzeci sześcian.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Paweł

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1437/G

0-68

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

8

Siedzi na parapecie, plecami wsparta o futrynę, po drugiej stronie uliczki wabiąco błyszczą okna. Czy jeżeli Róża zacznie krzyczeć, ktoś pospieszy jej z pomocą?

Właściwie niby dlaczego miałaby wołać o ratunek? Przywitano ją, nakarmiono i położono spać w białym pokoiku na poddaszu. Czy można powiedzieć wezwanym krzykiem o pomoc sąsiadom: „Krzyczę dlatego, że zamknięto mnie na klucz?" Nie będzie wołała.

Znowu jak ślepiec podąża do niszy przy drzwiach, gdzie stoi na dziwnym trójnogu miska, a obok miski wybrzusza się porcelanowy dzban. W ciemności ochlapuje wodą twarz i szyję. Czuje ulgę. Jak dobrze, że woda jest taka chłodna, łatwiej oddychać i myśli się jakoś łatwiej. Róża zastyga z dłońmi zanurzonymi w zimności. Czemu się tak zdenerwowała? Ostatecznie nie stało się nic strasznego. Słowa tamtej pani? Jutro zastanowi się, co to właściwie miało znaczyć, teraz jest śpiąca i bardzo zmęczona. Dopiero chłód wody pozwala jej uświadomić sobie, jak bardzo.

Wysoko przewala się grzmot, ogród szeleści, szumi, to zerwał się wiatr idący przed czołem burzy, gałęzie drzew szarpane podmuchami skarżą się jękliwym skrzypieniem, klekocze oderwany kawał blachy, skrzydło okna zamyka się z trzaskiem. Letnia błyskawica rozświetla biały pokój błyskiem krótkim jak mgnienie oka.

Z przytulonym do poduszki policzkiem Róża usiłuje pomyśleć, zastanowić się, ułożyć plan działania, ale powieki stulają się same, ogarniają ciepły bezwład. I sama nie wie, że już śpi, gdy za oknem spadają pierwsze krople deszczu.

Najpierw uderzają cichutko o dach, o szyby, potem z nowym trzaskiem gromu rozpętuje się letnia ulewa, między niebem a ziemią staje szara ściana wody. Piorun bije za piorunem, błyskawice raz po raz wydobywają z ciemności uśpioną głowę na bieli poduszki.

Ale Róża śpi i nie wie nic o burzy.

* * *

Jest bardzo zdziwiona, gdy siada na łóżku. Nie zna tego pokoju, nie zdaje sobie sprawy, gdzie się przebudziła. Przecież na tamtej ścianie powinien być regał, a przy regale plakat z Abby. Jeżeli obróci głowę, zobaczy plastykową zasłonkę oddzielającą kuchenkę od jej amerykanki. Bo to powinna być amerykanka, a nie jakieś staromodne łoże ozdobione gałkami. A te rzeczy dlaczego poniewierają się po podłodze, rzucone bez żadnego szacunku? I koszula, i dżinsy będą po czymś takim wyglądały, jak wyjęte psu z gardła!

Ale wystarczy spojrzeć na okrągłe lustro w białej ramie, żeby przypomnieć sobie wszystko. Jednym skokiem Róża jest przy drzwiach, szarpie klamkę. Drzwi otwierają się tak nagle, że Róża wylatuje jak z procy na strych.

Czyżby jej się to wszystko przyśniło? Że drzwi zostały zamknięte? Że słuchała dziwnych słów kruchej kobiety nic nie rozumiejąca i przerażona? Że chciała skakać w dół, nie bacząc na niebezpieczeństwo, byle stąd uciec? Że mało brakowało, a zaczęłaby wzywać głośno pomocy?

Dokończenie na str. 7